



TYGODNIK WYBRZEŻA

ROK III

SZCZECIN, 12 GRUDNIA 1948 R.

NR 48 (122)

KAZIMIERZ BŁAHL

Ludzie z portu Szczecin

Nasze rozmowy z Frankiem Gilem nigdy nie miały poważnego charakteru. Franek wpadał do redakcji w nieokreślonych godzinach, częstokroć w najmniej odpowiednim do towarzyskich spotkań czasie i stając nad moją maszyną do pisania, długo rozważał się nad tematami, które zawsze wynajdywał w lot bez względu na ich aktualność. Czasem był to film, grany przed rokami w miejscowym kinie, niedawny artykuł w „Odrodzeniu” albo poprostu, tym razem już coś aktualnego — pogoda. Zawsze mówił raczej on, ja zaś z oczami, wbitymi w klawiaturę maszyny, przypominałem sobie usmiejąc: jaki był obrot portu szczecińskiego w lutym ubiegłego roku...?

Było to zdaje się już późna wiosna, w tym czasie, kiedy na ulicach miasta sprze dały ostatnie kicście bzu i magnolie na Al. Wojska Polskiego już dawno przekwitły. Przez otwarte okno wleciał się do redakcyjnego pokoju świeży mroźny zapach kasztanów, zmieszany ze swędem spalonej benzyny i oliwy samochodów. Tramwaje, biegnące w dół za oknem, szły wówczas wolniej, tak jak ludzie. Koło południa właśnie przyszedł Franek. Jak zwykle trzymał pod pachą plik gazet i jakąś książkę. Powiedział głośno swoje „witam”, a po tym „jak Boga kocham, co za dzień!” i znów pocięła się nasza rozmowa, przerywana co chwila dźwiękiem telefonu lub nagłym wtargnięciem gońca redakcyjnego. Pamiętam, mówiliśmy wtedy o porcie. Przypominaliśmy sobie nazwy nabrzeży, po których sam niejednokrotnie chodziłem, a Franek ich nie znał, uzgadniał jakiś historyczny dla Szczecina terminy i ustalaliśmy nazwy statków. Parnica, Mieleński, Górną Odrętowa — to wszystko łączyło się w naszej rozmowie wspólnie z s/s „Ketońce” i m/s „Morska Wola” w jedną monną całość, której na imię Port Szczecin. Rozmowa się przeciągała, artykuł, rosnący na arkuszu papieru, wkręconym w maszynę, zatrzymał się w połowie. I wtedy Franek zapytał:

— a jacy są w twoim porcie ludzie?

— Ludzie?... odpowiedziałem pytaniem. — No tak ludzie, ci z Kaszubskiego, FANT-u, Kapitanatu Portu i z węglowego Parku? — pytał niecierpliwie.

Nie odpowiedziałem mu wówczas na tamto pytanie. Poprostu nie umiałem. A wkrótce po tym Franek wyjechał i znowu nie wiem, czy kiedykolwiek się dowiemy jacy są ludzie w szczecińskim porcie.

Nie mogłem na tamto pytanie dać odpowiedzi. Gdybym tysiącami rzeszę robotników i pracowników portu szczecińskiego określił przymiotnikami „wielcy”, „wspaniali”, to powiedziałbym nieprawdę. Nie, tacy oni nie są. Jeżeli mówić już o ludziach tego portu, to myślę, że trzeba byłoby sięgnąć do tego „pierwszego” człowieka, który przyszedł ten port uruchomić. A wydaje mi się, że tym człowiekiem był kolejarz.

Pamiętacie port w 45 roku? Leżał go o drugiej stronie Odry, siny w jesiennych mgłach, majaczący spekanymi od wybuchów ruinami. Na wysokości Źrózłowy, kiedy jechałście zapchanymi tłumami o-sadników pociągami, po prawej stronie, z za ściany poprzestrzelanego lasu rzucał się w oczy pierwszy znak portu: szara, ogromna sylwetka lotniskowca Kriegsmarine „Graf Zeppelin. Pociąg się wlekił opale, a na jego stopniach jechali kolejarze. W niejedolitych mundurach (czy to były w ogóle jakieś mundury?), stania jacy się od zmeżenia jechali do Szczecina, — uruchamiać port. Nie w'em co powiedział wówczas stary, wysłużony kolejarz Piotr Tracz, kiedy zobaczył powykierowane rachitycznie torry kolejowe, związające bezsilnie nad strząskanymi przesłami mostów na Odrze Wschodniej. Spotykałem go potem dość często na dworcu Turzyńskim, gdzie w wolnych od pracy godzinach sprzedawał bochenki chleba. — Aby prze-

żyć najcięższy okres — jak mawiał, aby doczekać kiedy poprowadzi pociąg do parku centralnego.

Park Centralny to setki torów, związanych rozjazdami, budkami zwrtniczych, tysiącami tablic, znaków orientacyjnych i semaforów. Tu przechodzą tysiące wagonów ze Śląska w drodze do nabrzeży. Z walbrzyskich kopalni do fabryk w G. E. teborg, Malmo i Trömsö. I dlatego Park Centralny jest ważny, jak równie ważnymi są tu ludzie. Bo pomyślcie tylko, co by się działo, gdyby na moment zabrakło w wysokim budynku nastawni dyżurnego ruchu Mikulskiego. — Właśnie w tym momencie, kiedy na jego biurku rozbrzmiewa telefon i głos po drugiej stronie linii melduje, że od Dąbia Szczecińskiego wjeżdża na Szczecin—Zdawczy pociąg węglowy z Pyskowiec. Długi skład wagonów bielejący białymi plamami wapna na wysokich usypach węgla, w mlecznym blasku lamp, świecących na masztach, wtoczyły się na zamknięty tor... Nie pomogłoby już czerwone latarki przetokowych, ni przenikliwe gwizdki kolejarzy z torów; maszynista z parowo-

zu w syku pary nie zauważyłby ni tych lamp, ani nie usłyszałby gwizdków... Ale Mikulski czuwa. Węglowy pociąg wjedzie zawsze na właściwy tor, zawsze zostanie szybko i sprawnie „rozbity” na części, zawsze w odpowiednie miejsce skierowany do rozładunku, chociaż Mikulski nie jest jakimś nadzwyczajnym człowiekiem. O sobie mógłby nam najmniej powiedzieć. Ze przyjechał w tym i w tym roku do Szczecina, że jeszcze ani razu nie spowodował wypadku, że należy do partii, że ma żonę, mieszkanie... Tak, dyżurny ruchu z centralnego parku jest zwykłym pracownikiem PKP i jego nazwisko jeszcze nie figurowało w „biuletynie współzawodnicstwa pracy”, wydawanego przez miejscowy zarząd ZZK.

... Ale Mikulski jest kolejarzem. Pracownikiem, który nie może przekraczać norm w regularnym biegu pociągów, bowiem najwyższym sprawdzianem jego sprawnej pracy będzie zawsze cyfra 100 proc. To znaczy, że pociągi towarowe przychodzą o czasie opuszczając rozległy park centralny. Czas to wielkie siło

wo dla kolejarza. Bitwa o czas trwa w najmniejszej placówce kolejowej, w której pracują tysiące takich Mikulskich, Gelgerów, Burzyńskich, Nyków. I ten czas i walka o niego związała ludzi szcze cińskiego portu. — Musimy pracować szybko! — to hasło panuje wszechstronnie: Od centralnego parku, przez Basen Kaszubski, aż do HUK.

Właśnie HUK. Wydaje mi się, że symbolem szczecińskiego portu powinno być to nabrzeże, wciśnięte pomiędzy wielki kombinat przemysłowy na Stoczynie, a wąskie drobnocenne nabrzeże. Jest pewnie, że dyżurny Mikulski nie zna się z przodownikiem trymerskim na HUK-ku. Ale zarówno przodownik Stachowiak, jak i dyżurny z Centralnego dobrze o tym wiedzą o ich łączy. A łączy ich węgiel. Dziesiątki, setki i tysiące wagonów węgla, wysłanego z parku na HUK. Powiedziałem, że HUK powinno stać się symbolem naszego portu. Dlaczego? Że HUK był tym pierwszym nabrzeżem, na którym latem 46 roku załadowano przy pomocy żelaznych kubitów, uwieszonych na stalowym maszynie „winczy” i łopatom, bez pomocy dźwigów, pierwszy w dziejach polskiego Szczecina statek? Chyba nie. Historia odbudowy portu zna tysiące innych bezprzykładnej ofiarności robotniczej, faktów. Jest inny symboliczny fakt na HUK-u. To wytrwałość, to zaufanie do organizacji partyjnej, to pierwsze powiązanie się partii z robotnikami na nabrzeżu.

— Żle u nas się działo w 46 tym — opowiadał mi o początkach pracy dawniejszy ekspedient portowy, a dziś sekretarz koła partyjnego — Jagliński.

— Nie było czym ładować statków. Trzeba było samemu remontować dźwig, a nawet je montować. Nie umieliśmy tego robić — zwierzał mi się najlepszy trymer w porcie szczecińskim — Stachowiak.

— Kazali mi przeladowywać węgiel wielkim dźwigiem, musiałem się tego najpierw nauczyć — mówił przedwojenny piekarz, a dziś bodaj najlepszy dźwigowcy w naszym porcie — Nyczkowski.

Rośli na HUK-u ludzie. Uczyli się wia dać trymerską łopatą, montować dźwig, przeladowywać węgiel. Rośli i opuszczali to nabrzeże, aby zasilić inne, aby na Kaszubskim, Górnośląskim, Odrze, Arsenalu także pobudzić do pracy port. HUK to była szkoła. Przedwojenni robotnicy kolejowi, żołnierze i armii, spawacze i piekarz Nyczkowski wykonali wyznaczony dla tego nabrzeża w tym roku państwowy plan przeladunkowy na trzy miesiące przed terminem. Mało, wykonali plan uchwalony przez siebie, przez ich partię, o 110 tys. ton wyższy od planu państwowego, także przed terminem. I w tym nie ma nic dziwnego. Bo gdybyście zapytali poznaniaka Stachowiaka jaki to się stało, wzruszyłby tylko ramionami.

— Ot, pracowali się i tyle. A jeśli chcecie się dowiedzieć, jak się pracowało, to najlepiej spojrzcie na naszą tablicę „wysięgu pracy”. Ona wam najlepiej o wszystkim powie. Co do mnie, to ja zawsze trzymuję na dwie luki odrazu, i żeby było szybko!...

A technik Lenartowski, który ma dwadzieścia pięć lat i zbudował według własnego pomysłu ze starych części 2 tonowy dźwig, powiedziałaby:

— Sprawna organizacja ludzi, którzy wiedzieli i wiedzą dlaczego pracują. — A to, że trzy trymerskie zmiany, — ludzie z pogotowia technicznego dźwigów wiedzą dlaczego pracują, to jest właśnie zasługą organizacji partyjnej: Bowien organizacja partyjna na nabrzeżu HUK była motorem pracy: Koła PPR i PPS usprawniały pracę dźwigów, koła PPR i PPS związały świadomość klasową robotników, a wreszcie koła te walczyły o poprawę, o polepszenie bytu pracujących, o stołówkę, świetlicę, mieszkania i dojazd

KONKURS

Klub Literacko Artystyczny w Szczecinie
rozpisuje konkurs pod nazwą:

ŚWIAT PRACY PISZE O SOBIE

Chodzi o krótkie opowiadania lub reportaże (od 3-ch do 5-ciu stron pisma maszynowego), w których autorzy spośród świata pracy na Wybrzeżu zechcą ująć swoje wrażenia z terenu swoich Zakładów.

Za najlepsze prace Klub ustanawia 3 nagrody:

- I-szą — w wysokości zł 15.000.-
- II-gą — „ „ 10.000.-
- III-cią — „ „ 5.000.-

Termin nadsyłania prac upływa dnia 31 marca 1949 r. Prace nadsyłać należy do Zarządu Klubu, pod adresem: Szczecin, Aleja Wojska Polskiego 41, Redakcja „Tygodnika Wybrzeża”.

Nagrodzone prace będą drukowane na łamach „Tygodnika Wybrzeża”, za co Autorom przysługujące będzie oddzielne honorarium.

Nadsyłane prace winny być podpisane pseudonimem (godłem). Nazwisko i adres autora należy dołączyć w osobnej, zapieczętowanej kopercie.

Skład sądu konkursowego podamy w jednym z najbliższych numerów.

Apelujemy do świata pracy na całym polskim Wybrzeżu o jak najliczniejszy udział w konkursie. W razie nadesłania większej ilości prac, „Polskie Pismo i Książka” przystąpi do ich zbiorowego wydania. Książka taka miałaby niewątpliwie donosić wartość dokumentarną.

portu, gdzie pracuje stary trymer autochton Nowicki i kierownik Wilimowski, który do robotników mówi — „słuchajcie dzieci!”.

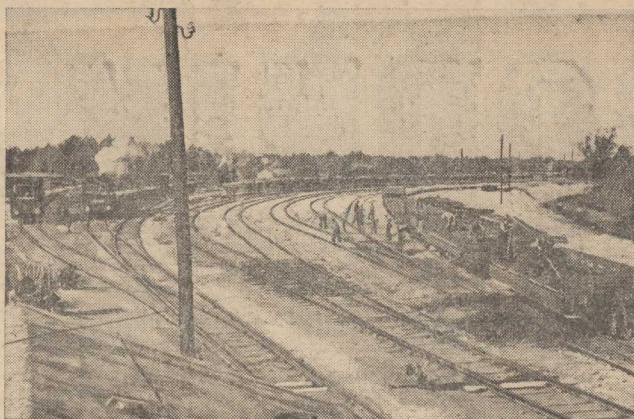
Zawsze, kiedy jestem w Świnoujściu i patrzę na mijające reed statki, wchodzące do portu, wydaje mi się, że ta właśnie „Fyla”, czy „Anita - Hans” muszą pójść na HUK. Bo tam najszybciej załadują. Chociaż na Kaszubskim trymer Linowski zrobiłby to również szybko i sprawnie. Wiem, że moje przypuszczenia i życzenia są śmieszne i nieprawdopodobne. O tym, gdzie ma cumować szwedzki, czy duński rudo-węgielowiec, decyduje dyspozytor, a więc właściciel towaru, a potem Kapitanat Portu. Tak, Kapitanat, a w nim dyżurny oficer portu, taki morski Mikulski, który ma na nazwisko Lenk. Też ma żonę, należy do partii, i przyjechał w tym i tym roku do Szczecina. Widzieliście kiedy przy pracy dyżurnego oficera portu Lenka? Napewno nie. W każdym bądź razie nie należy mu się narzucać ze swoją obecnością, kiedy w Kapitanacie Portu dzwoni pięć naraz aparatów telefonicznych i bosman z nabrzeża Oko, maider z „Baltica”, ekspedient z GAL-u, Żegluga na Odrze, kapitan z fińskiego statku s/s „Ranis” punkt obserwacyjny na Siołczyźnie — mają do Kapitanatu Portu pilne sprawy — indagują, proszą, żądają, meldują. Wtedy dyżurny oficer portu Lenk dwoi się i troi. W jego oto rękach spoczywa naraz pięć ważnych spraw, związanych z pracą, życiem portu i ludzi. „Baltica” pyta o ss. „Hanne Skou” z ruda, „Żegluga” o stan barek bosman z „Okra”, melduje przyzwyczajeniu trawlera rybackiego, zaś GAL żąda płaoty dla ss. „Katowice”. Kiedy mia 12 godzin służby w małym pokoju dyżurnego oficera portu, Lenk zapisuje godzinę zakończenia pracy, ustala stan jednostek w porcie i idzie do domu.

No i cóż w tym nadzwyczajnego? — zapyta pilny obserwator życia portu z Wałów Chrobrego. — Nadzwyczajnego? W porcie szczecińskim nie ma rzeczy nadzwyczajnych, a to, że dyżurny oficer portu Lenk czuwa przez dwanaście godzin jest sukcesem w pracy tego portu. Bowiem stworzone zostały warunki, aby dyżurny mógł objąć pracę w Kapitanacie, bowiem dyżurny Lenk wie dlaczego to pracę wykonuje. A że nie wykonuje ją ślepo, jedynie według ustalonego regulaminu, czy jakiegoś rozkładu jazdy statków, to jest pewne.

Wystarczy zresztą zapytać o to kpt. Domoradzkiego — kapitana Portu Szczecin. Powie o Lenku tylko tyle: dobry pracownik i wszystko. Tak, wszystko, bo ludzie morza „uwięzieni” w czerwonym budynku Kapitanatu, są skąpi w słowa. To, że o któregoś tam godzinie w nocy dyżurnemu oficerowi portu kładą się obciążenia od zmechnienia powieki, to, że w głowie huczy młynek cyfr, nazw, sygnałów Codu, to, że co chwila ciszę kapitanatu rwie na strzępy nagły trzask telefonu, jest nieważne. To jest zwykłe codzienne i powszednie. Ale ta świadomość obowiązku jest ważna. I to trzyma w Kapitanacie Lenka. Zresztą nie tylko jego. Kapitan Domoradzkiego też. Opowiadają mi o tym kiedyś na keju:

— Rzuciłbym to wszystko, i poszedł na statek. Rozumiecie, co to jest za rozkosz czuć pod nogami deski pokładu? Odejsz już raz od tego biurka z „papierkami”. No, ale cóż, kłoby za mnie to robił — zakonkludował.

Kpt. Domoradzki wie, że napewno znalazłby się ktoś drugi, który by „robił w papierkach”. Ale jest coś ważniejszego od tej pewności — to fakt, że kpt. Domoradzki zrobił się z tym portem. Myśl o tym, że ktoś inny mógłby stanąć na jego kapitańskim, „biurowym mostku” i dyrygować nie jednym, a setkami statków w porcie, jest silniejsza — zostaje w porcie szczecińskim. Nie tylko kapitan Portu Szczecin trzyma port. W „Domu Marynarza” przy Małopolskiej znaleźliście drugiego takiego, któryby chciał „ucieknąć” na statek który się „odgrząza” i „straszny” że pójdzie. To sekretarz Związku Marynarzy Feliks Damm. Wiem, że nie odejdzie ze Szczecina, że nie opuści swojego biurka w sekretariacie. Bo kłoby wtedy organizował marynarzy, wykiłcał się z armatorami i kapitanami ob-



Fot. K. Komorowski

OGÓLNY WIDOK NA TEREN BUDOWY SZCZECIŃSKIEJ KOLEJOWEJ STACJI RORZĄDOWEJ

LEON GOLUB

SŁOWEM JAK MŁOTEM

Niech krzepną słowa jak cement,
A cement niech pieśnią żagada.
Nam pieśnią przekopać ziemię,
Z betonu nam wiersze składać.
Niech źródło uniesień tryska
Nie tylko z rosy i kwiatów,
Turbina, a nie odaliska
Herosem mych poematów.
Młotami niech biją słowa.
Słów gradem spadają młoty.
Kowalem poezja nowa,
Kowadłem — warsztat roboty!
Niech w ogniu martenów się praża
Uczuciem nabrzmią serca.
U wrót staną czujną strażą,
W motorach zawrotnie wierca.
Już dzisiaj ognie spawaczy
Przyćmiły blaski księżycy,
A słowo „produkcja” znaczy
Dom szklany i szklana ulica.
Dla nas turkocą turbiny,
Jak gajów szemrać gwarę,
Obrasta ziemia w maszyny.
Krajobraz zmieniamy stary.
Odejdą piewcy obłudy
Nam dobrze będzie i bez nich.
Krzep nas poezjo trudu...
Prowadź trudzie poezji!

EDWARD FISZER.

MELDUNEK ZE STOCZNI

Słowo stoczniońca jak metal:
Rozlegnie się, gdy uderzysz.
Statek przyrzekł w gazetach
Na gruzdziej, Spróbuj nie wierzyć.

Ziąb tnie, śnieg z deszczem się mrowi.
W krąg pochylni cwałuje wiatr.
Mechanik — gorący człowiek
Rozpina bluzę — rad!

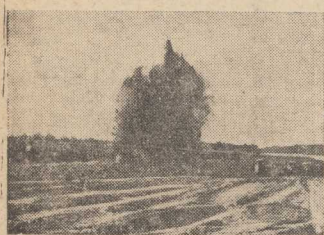
Niterzy, zgięci przy dziobie,
Kładą na żebra poszycie,
Związują się burty obie
Żelazną nicią.

Na rusztowaniach spawacz
Przygnał z palnikiem do blach.
Krzepnie bałtycka sprawa,
Wznosi się morski gmach.

Malarz nam skinał z wysoka,
Już kadłub odziewa w czerwieni;
Nigdy jej nie zje Zatoka,
Ni sztorm podróżny nie zerwie.

Chrzest w grudniu: żelazną nicią
Dwie burty w dziobie się wiążą:
Statek „Jedność Robotniczą”
Stoczniońcy — bij w metal! — zdążą.

Gdańsk, 26. XI. 1948.



Fot. K. Komorowski

Detonowanie terenu

TYGODNIK
2 WYBRZEŻA
Nr. 48 (122), 12.XII.48.

cych statków, walczył o polepszenie bytu marynarzy na „Biczu”, uspokajał straszkane matki, żony i siostry, którym synowie, mężowie i bracia od dłuższego czasu nie powracają z rejsu. Feliks Damm nie odejdzie od biurka tak jak Nyczkowski nie opuści dźwigu, tak jak Szlendak nie opuści wschodniego nabrzeża w Basenie Kaszubskim dopóki nie zastycy beton, dopóki nie zakończy swej roboty.

Szendak, barczysty mężczyzna w wawonowej kurtce nie mówi praca — tylko robota. — Ciężka robota — stwierdza wskazując na rudą siatkę żelaznych prętów, wmontowanych w nowobudujące się nabrzeże w Basenie Kaszubskim. To, że Szlendak jest mało mówny i twierdzi, że nie umie „gadać”, jest nieważne. Szlendak się nauczył kiedyś mówić na zamówionych zebraniach. Dziś za Szlendaka mówią wymiaki jego pracy. 10 metrów nabrzeża, 20... 30... 40... 100 i 200 metrów. Tak, zbrojarska grupa Szlendaka zobowiązała się do dnia 1 grudnia zakończyć prace przy budowie 200 metrowej piły betonowej na nabrzeżu w nowym basenie węglowym. Zobowiązała się poto, aby tym czynem uczcić Kongres Zjednoczeniowy obu partii robotniczych, aby wykazać, że moment połączenia się obydwu partii jest im bliski i, że nań czekali od wielu, wielu lat. Szlendak jest bezpartyjny. Sam, chociaż jest przodownikiem grupy, ubija głębią, szarą masę betonu między siatką konstrukcyjną, sam dokręca ściąg przy larsenowskiej ścianie, sam dozoruje dźwóz zbrojarskiego materiału. Tym zwiększonym wysiłkiem pragnie on wykazać, że jest całą duszą i sercem w partyjnikami przy realizowaniu przedkongresowego wyczynu.

Takich Szlendaków w basenie Kaszubskim jest więcej. Tam gdzie grzmiały dzieł i noc kafary, pracują Pauliński i Bachor. Obaj są kafarzystami. Obaj przy pomocy amerykańskich kafarów wbijają długie, piętnastometrowe pale wod fundamenty nowego nabrzeża. Warto przypatrzeć się im, kiedy kafarowa „baba” wznosi się do góry aby za chwilę spaść z ogłuszającym hukiem na ukośnie tkwiący w ziemi żelbetonowy pał. Wtedy Pauliński i Bachor nie myślą o swoim tamtym prywatnym życiu, nie myślą o tym, że dach w domu przecieka, że trzeba byłoby sprowadzić ziemniaków na zimę, że buty dla dzieciaków... A przecież mogłoby myśleć — ale kafar jest w tej chwili najważniejszy. Od czasu do czasu spotykają się na wybagrowanym cyblu basenu, zapalając papierosa, a wtedy jeden drugiego zapytuje: — Ile dzisiaj już masz? Bo ja to już szósty zabijam...

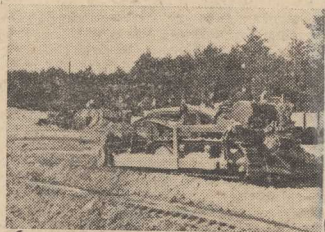
— A ja zabielem już siódmy pał — odpowiada ze śle ukrywając radością Bachor.

I znów wracają do swoich kafarów, które biją z niesłabnącą energią. Biją poto, ażeby basen węglowy przystąpił do pracy w krótszym terminie niż to przewidują harmonogramy robót. Poto, aby węglowe pociągi, biegnące z kopalni „Makoszowy”, „Zabrze - Wschód” i „Gen. Zawadzki”, miały gdzie wyładować górnicy produkt, a wreszcie aby zwiększyć siłę naszego portu.

Nie ma Franka w Szczecinie. Nie wiem czy czytał w dziennikach, że ludzie z portu Szczecin wykonali przedterminowo państwowy plan przeładunku i że w wykonanie tego planu włożyli całą swą wiedzę i serce. I ten meldunek o przedterminowym wykonaniu planu powiedział Frankowi najlepiej jacy są ludzie w szczecińskim porcie — to pracownicy i zwyczajni. Nie patetyczni. Jeżeli wykonaliby plan — to znaczy, że pragnęli wykazać jak bardzo ten port jest ich, jak bardzo na sercu leży im przyszłość tej ziemi, którą własnym trudem zagospodarowali i odbudowali. Wykonali plan przed terminem, bowiem wszyscy brali udział w bitwie o czas, którego jest stale za mało i który upływa. I dlatego pracowali szybko. Szybko ładowali trymerzy węgla na HUK-u, szybko wyładowali wagony z piaskiem na rozrządowej. Bez względu na to, że nierzaz nie dowieziono obiadu, że brak było narzędzi czy ubrań robotniczych...

Gdybym ich wszystkich, tę wielotysięczną rzeszę robotników portu szczecińskiego nazwał przymiotnikiem „wielcy”, to powiedziałbym nieprawdę. Tacy oni nie są. Ale są oni świadomi celu, do którego ich poprowadzi Zjednoczona Partia polskiej klasy robotniczej.

Kazimierz Błahij



Fot. K. Komorowski

Potężne spychacze wyrównują grunt

MAŁA WOJNA NERWÓW W R. 1935

Z końcem lipca nadchodziła w przedwiosennym Sopocie pełnia sezonu. Elegancki kurort bałtycki wypełniał się po brzegi. Na rzędzie zatrzymywały się często zagraniczne statki wycieczkowe, których pasażerowie zwiędali ciekawskie porty i miejscowości Bałtyku. Kilku dniowe wycieczki powiększały różnorodny tłum gości, który zalegał sałe kasyna gry i promenadę nadbrzeżną. Właściciele pensjonatów, kawiarni, sklepów, zarząd miasta i setki ludzi, utrzymujących się z ruchu letników, zbierali obfite żniwo. Słobizm, importowany z wielu zakątków Europy Środkowej, kojarzył się tu równie łatwo z elegancją jak z utracją swobodą, którego następstwami zmusiły zarząd kasyna gry — zapewne na interwencję władz polskich — do wydania zakazu wstępu na sale świątyni hazardu kasjerom i księgowym. Ludzi, których zawód był określony w dowodzie osobistym mianem dyrektora, ograniczenie nie obejmowało.

W roku 1935 sezon nie dopisał. Wolne Miasto przeżywało od kilku miesięcy głębokie przeobrażenia polityczne i gospodarcze, które kładły ponury cień nie tylko nad rozchwytanym Sopotem, lecz nad całością interesów ludności i portu.

Błaha w gruncie rzeczy przyuczyna dała mi tego lata możliwość śledzenia ciekawych wydarzeń nad Bałtykiem. Przed wakacjami ukończyłem szóstą klasę gimnazjum. Pod koniec roku szkolnego po padłem kilkakrotnie w ostry konflikt ze składnią i gramatyką niemiecką. Rodzice postanowili wysłać mnie na kilka tygodni do Sopotu, gdzie mogłem uzupełnić braki i nabrać wprawy w obcym języku. Sopot gorował nad Gdańskiem bezpośrednią bliskością morza i plaży. Zamiast słobizmu i elegancji przywożem nad Bałtyk gruby zeszty z dołów i sławetną gramatykę Ledera.

Tego lata wycieczki „pokój do wyjęcia” nie znikały ze ścian domów sopockich. Skromne locum znalazłem łatwo w pensjonacie pana Henckla, korpulentnego Gdańszczanina starej daty. Człowiek ten z widocznym wysiłkiem, jak mi się zdawało, usiłował dostroić się do nowych prądów, które coraz silniej nurytowały w społeczeństwie gdańskim i pociągały wyobraźnię trzech jego synów, niewiele młodszych ode mnie. Henckel starał się otaczać gości opiekunką dabością. Nalegał, bym mu zaręczył, że wymiany złotych na guldeny będę dokonywał tylko za jego pośrednictwem, dla obopólnej — jak twierdził — korzyści i zgody. Gulden miał coraz gorszą opinię. Złoty był walutą atrakcyjną. Gadaliśmy Henckel większo rozmówek, na które go często naciągałem, z uwagi na cel mego pobytu, kończył smętną sentencją: „Mein Freund, wir machen uns das Leben zu schwer!”

MITLERZYM DOCHODZI DO WŁADZY

Wybory w dn. 9. IV. 35. oddały władzę w Wolnym Mieście Gdańsku w ręce NSDAP. W nowym układzie politycznym wystąpiły wyraźnie dwie dążności partii hitlerowskiej. Pierwsza zmierzała do zupełnego ograniczenia wpływów silnej jeszcze opozycji wobec nowego reżimu. Składała się ona z pozostałych partii gdańskich, t. j. partii narodowo-niemieckiej, centrum katolickiego i socjalistów. Opozycja kwestionowała legalność wyborów, podnosiła sprawę licznyc nadużyć oraz nacisku bojówek partyjnych na wyborców. Domagała się referendum w sprawie rozwiązania Volkstagu (parlamentu gdańskiego). Sprzeciwił się złożyła w formie petycji na ręce Wysokiego Komisarza Ligi Narodów, Irlandczyka Costera. Szef gdańskiej NSDAP, Forster i nowy prezydent Senatu, Greiser, odpowiedzieli na te akcje pierwszymi oznakami terroru policyjnego. Wiele wyższych urzędników senatu i funkcjonariuszy niemieckich, członków partii opozycyjnych, zostało osadzonych w areszcie. Policja, pozostająca w dyspozycji NSDAP, aresztowała uwolnionych przez sąd po raz drugi, trzeci itd.

Drugą dążnością partii była chęć jak największego podlegnięcia ustrojowi politycznemu i gospodarczemu Wolnego Miasta pod strzechule programu hitlerowskiego. Nowy senat szybko wkroczył na drogę polityki faktów dokonanych wobec Wysokiego Komisarza L. N. i Komisarza Generalnego R. P., min. Papee.

Gospodarka gdańska od dłuższego czasu przeżywała trudności. Nadmierne rozdzienie aparatu administracyjnego nie miało pokrycia budżetowego. Zbytecznych było ok. 500 etatów urzędniczych. Z dochodów portowych Senat wyciągał ok. 50 milj. guldenów rocznie. Koszty administracji wynosiły 80 milj. Różnicę zamierzał Gdańsk pokrywać z subwencji niemieckiej, jednak mimo obietnic Rzeszy nie kwapiła się jej wyplacać. Sytuacja pogorszyła się od chwili dojścia partii hitlerowskiej do władzy. Przyczyniła się do tego waleń rozruch w nadzwyczajnym nowym stanowiskach politycznym. Nadto banki niemieckie zaczęły wycofywać swe kredyty z Gdańska, zamierzając jednocześnie znaczną należność Wolnego Miasta w Rzeszy.

Jako wyznacznik z tej trudnej sytuacji w dn. 2. V. 35. Senat zdewałował gul-

dena o 42%. Sto dawnych jednostek miało się równać 170 nowym. Nowy gulden został zrównany ze złotym. Sam fakt zrównania walut był na dłuższą metę korzystny dla obu stron — gdańskiej i polskiej. Poprzednia różnica powodowała nadmierne wyrubowanie cen towarów i usług w porcie gdańskim. Lecz nie te względy miał na oku Senat. Zależało mu, aby sanacja guldena przeprowadzić w przeważającej części na koszt Polski.

Gdańsk na mocy postanowień traktatu wersalskiego i umów dodatkowych znajdował się wewnątrz polskiego obszaru celnego. Urząd celny gdański dokonywał odpraw również w stosunku do towarów, przeznaczonych dla obszaru polskiego. Dochody celne z tego tytułu były dzielone między obie strony. Stanowiły one podstawę finansową gospodarki miejskiej. Z tytułu owych rozrachowań posiadaliśmy w Gdańsku wielomilionowe, zablokowane sumy. Obecnie Gdańsk zamierzał przez dewaluację swej waluty uzyskać sztuczne obniżenie tych należności. Różnicę mógł ponadto wygrażać na swą korzyść przy poborze ceł. Korzyścią uboczną miało być sztuczne obniżenie konkurencyjnych zdolności Gdyni.

Równocześnie z dewaluacją nastąpiły dalsze zarządzenia gospodarcze. Za przykładem Rzeszy Senat wprowadził przymusową gospodarkę dewizową. Uderzyło to w pierwszym rzędzie w polskich interesantów portu gdańskiego. Tracili obecnie nie tylko nadzieję wydobycia zamrożonych należności, lecz również swobodę ruchu na terenie portu. Tu również Gdańsk zamierzał swe należności regulować nowym, zdewaluowanym guldenem. W największej mierze poszkodowany był tekstylny przemysł łódzki.

Oblicze całej sprawy nie ograniczało się jedynie do strony gospodarczej. Zobowiązania traktatowe nie pozwalały Gdańskowi na wprowadzenie regulacji celnej i dewizowej i naruszanie interesów polskich. Dewaluacja wywołała zatem konieczność rewizji układów i umów normujących współżycie polsko-gdańskie.

Najlepszym ratunkiem w trudnościach była dla Gdańska pełna unifikacja złotego i guldena. Dwie waluty na jednym obszarze celnym stanowiły od dawna zjawisko kłopotliwe. Lecz władcy Gdańska woleli, w myśl dyrektywy Berlina, utrzymać przymusową gospodarkę, choćby ze stratą dla miasta, do czasu przyszłego włączenia ujścia Wisły do Rzeszy, planowanego w Berchtesgaden.

Perfidie tej polityki potwierdzały negatywne wyniki częstych berlińskich wizyt dyrektorów Banku Gdańskiego, którzy usilowali wykołatać tam wsparcie dla prowadzenia samodzielnej, antypolskiej polityki. Nakaz Berlina brzmiał: — różnicę maszą politykę, ale... za swoje guldeny!

Zmiany wywołały zamieszanie i niepewność w stosunkach gospodarczych. Rozpoczęła się ucieczka od guldena. Ceny wielu produktów zwykowały. Tymczasem zasoby dewiz w Banku Gdańskim toniały niezmiennie.

Wśród ludności krążyły pogłoski o możliwości wprowadzenia marki niemieckiej. Słuchano ich z niepokojem. Ludność obawiała się zamknięcia granicy polskiej i skazania Wolnego Miasta na dowóz żywności z Niemiec. Byłoby to równoznaczne z klęską głodową. Restrykcje zdążyły już spowodować obniżenie przywozu żywności z obszaru polskiego.

Nastąpiła fala spraw o przekroczenia dewizowe. Kupiec kaszubski wracający z targu w Gdańsku, stawał się w rozumieniu władz senackich przemyślnikiem, jeśli miał przy sobie ponad 20 guldenów i narażał się na konfiskatę pieniędzy, karę grzywny lub aresztu. Gdańsk stawał się pułapką dla obywateli polskich, nieobznajomionych z przepisami. Tymczasem po ulicach Wolnego Miasta maszerowały bojówki szturmowe SA i śpiewając buńczuczne pieśni oraz biąc przechodniów za niesłuchanie sztandarów, starały się narzucić nowe piętno ulicy gdańskiej. Był to dalszy krok w programie „Zurück zum Reich!”

BATALIA CELNA

Z początkiem lipca sytuacja w Gdańsku zaogniła się. Handel omijał niewygodny port. Zwyczaj cen artykułów pierwszej potrzeby doszedł do 50%. Pisma gdańskie zamieszczały sążyste rewelacje o rzekomych śpiesznych przygotowaniach w Gdyni, mających na celu przejęcie polskiego eksportu drzewnego. Pogłoski te uderzały w najczulszą strunę interesów gdańskich. Port gdański jest przede wszystkim portem drzewnym. Sążyste artykuły drzewnego redaktora organu NSDAP. Zarządca (głoszącego z późniejszej działalności prasowej w Generalnej Gubernii), obciążały Polskę odpowiedzialnością za spadek ruchu statków i tonażu w porcie.

Tymczasem przy akompaniamencie gabinetowych narad i wiecówch przemówień sytuacja gospodarcza nad Motławą utrwalała się. Wszyscy społecznie w niedokołom w stronę Gdyni. Co uczni Polska? Jedyną naszą reakcją do tej nory było oświadczenie Komisarza Generalnego R. P. z dn. 15 VI. że Poczta Polska nie zastępuje się do ograniczeń dewizowych w ruchu

przekazowym, a kolej należności w guldenach pobierać będzie tylko na trasach leżących całkowicie w obrębie Wolnego Miasta.

Nie było to jednak całkowicie rozwiązanie trudności. Właściwa reakcja przyszła w dn. 18. VII. w postaci zarządzenia Min. Skarbu, regulującego stosunki celne w porcie.

Odtąd w Gdańsku mogły być cłone towary, przeznaczone wyłącznie do wewnętrznego spożycia w Wolnym Mieście. Towary, przeznaczone dla obszaru polskiego, podlegały ocenie już na terenie Polski. Dokonanie odprawy celnej w porcie nie uwalniało od ponownego ocenia w kraju.

Zarządzenie wywołało niesłychane wrażeń E. Uniemożliwiło Gdańskowi wpłacanie opłat celnych do kas polskich w zdewaluowanych guldenach, uieruchamiło w praktyce Gdańską Dyrekcję Ceł i odbierało portowi rolę tranzytową.

Senat zaprotestował, rozdzierając szaty nad krzywdą, którą wyrządził rząd polski. Greiser upearł się przy swej koncepcji, że Gdańsk jest połączony z Polską unią celną. Zapomniał, że placówki celne w Gdańsku były jedynie urzędami polskiej siatki celnej, choć służbę w nich sprawowali celnicy gdańscy.

Polityka ul. Rymskiej okazała się skuteczniejsza niż wysiłki MSZ-tu. Wszak miała swe liczne precedensy. Przypomniała wysiłki Batorego, który zamierzał zmusić opornie miasto do posuchu, przenosząc szereg przywilejów gospodarczych na Elbląg.

Senat odmówił wykonania zarządzenia, lecz nie mogło to uchronić Gdańsk od konsekwencji gospodarczych. Liczne oczekiwane transporty morskie zostały przedysponowane telegraficznie przez odbiorców do Gdyni. Uczynio to nawet szereg lojalnych firm gdańskich, które podlegały w tym przepłsom zarządzenia, mimo stanowiska Senatu. Rynek polski zaczął się Gdańskowi wysiłkiwać.

Urzędy celne w kraju pobierały już dopłaty, obejmujące różnicę dewaluacyjną od towarów oclonych nieogólnie w Gdańsku. Paged przenosił już swe agendy do Gdyni. Obroty frachtowe na stacjach obszaru gdańskiego spadły do zera. Opłata frachtu przerzucono na odbiorcę przesyłki, port opustoszał. W przeciągu krótkiego czasu wpływy celne skurczyły się do 17 stanu dawnego.

Do Sopotu echa batalii o cła docierały w przytulionej formie. Góście pensjonatów niezwiązani ze środowiskiem, woleli przejechać się raczej temperaturą wody morskiej, operą leśną, czy wreszcie ruletką, niż kursem guldena, który na czarnej giełdzie spadł do 115 za 100 zł.

Sezonowy Sopot miał swoje własne emocje. Na rzędzie zatrzymał się właśnie kolos pasażerskiej marynarki niemieckiej s/s „Columbus” (40 tys. ton). Od kilku dni gościła wycieczka angielska. Do pensjonatu Henckla przybył autem przemysłowiec lotewski z Rygi. W parku miejskim rozpoczęły się rozgrywki tenisowe sezonu. Mimo tegorocznej braku letników w pewnych porach dnia długie, reprezentacyjne moło zapiełniały się całkowicie.

Lecz na ciekawe rzeczy można było w Sopocie natrafić nie tylko na moło czy plaży.

W czasie przechadzek z gramatyką Ledera pod pachą, zapuszczałem się w coraz to nowe części miasta. W odległym zaulku znalazłem kołowy napis na murze: „NS Partei tut uns leid, sie wird noch leben nur kurze Zeit”. Wciągnąłem go skwapliwie do mego zesztyka. Jak się okazało, to i ówde w mniejszych uliczkach trafiały się napisy podobne lub całkiem w treści przeciwnie.

Zmianę w beztriosnym nastroju przyniosły dopiero pierwsze dni sierpnia. Konflikt przybrał takie rozmiary, że stał się dostrzegalny dla wszystkich. Niektórzy przypieścili powrót. Trudność finansową odbijały się coraz bardziej na kuchni pensjonatów. Henckel, wiedząc, że spotkałem znajomych z Gdyni, zapytywał mnie w zaufaniu czy pogłoski o koncentracji wojsk na Okrywiu są prawdziwe. Tytuły pism gdańskich, zwłaszcza hitlerowskiego „Danziger Vorposten”, krzyżowały o polskim planie wygłodzenia Gdańska.

Stałem się naraz ośrodkiem zainteresowania niemieckich gości pensjonatu. Pan Lehmann, emeryt z Wrocławia, rozpytywał ciekawie o stosunki w Polsce. Interesowało go również zagadnienie wychowania młodzieży, szkół, przysposobienia wojskowego. Mając za sobą wiosenny obóz P. W., przedstawiłem mu obraz naszej edukacji w sposób militarny. W relacji tej każdy maturzysta w Polsce pociął w wysokim stopniu znajomość obsługi ckm-u. Uzyskana w Sopocie swoboda wypowiedziana dłuższych zdań w obcym języku i wzbogacony słownik wprawił mnie w total ferwor, że studentów pierwszych lat sadowiłem bez żenady w czółdach i samolotach. Lehmann kiwał głową i w skubionym zasępieniu spoglądał na czerwone autobusy gdańskie utrzymujące komunikację z Sopotem. Do gdańskiej wojny nerwów udało mi się dorzucić małą cegielkę.

GDAŃSK ZRYWA JEDNOŚĆ CELNĄ

W dn. 1 sierpnia Gdańsk zerwał jednosc celną z Polską. Urząd celny otrzymał od Senatu nakaz wypuszczania bez cła towarów, przeznaczonych do konsumpcji miejscowej. Dla Polski było to zarządzenie niebezpieczne, gdyż tworzyło lukę w państwowej granicy celnej, przez którą towary zagraniczne mogły się przedostawać bez kontroli skarbowej. W zasadzie politycznej było to dalsze naruszenie umów. Asekurację ryzykownego kroku stanowiły równoczesne oświadczenia karykowskich gdańskich o skłonności do bezpośrednich rokowań na tematy gospodarcze.

Następnego dnia Komisarz Generalny R. P. zażądał od Senatu cofnięcia zarządzenia, podkreślając jego polityczny charakter. Znaczący przy tym, że rozmowy są możliwe tylko po zniesieniu wszystkich bezprawnych aktów. Wspomniał również o możliwości udzielenia Gdańskowi długoterminowego kredytu dla uzdrowienia guldena.

W odpowiedzi na to 3.VIII Greiser doręczył przedstawicielowi Polski notę, oskarżającą o naruszenie podstaw egzystencji Wolnego Miasta, a zatem — o naruszenie podstaw traktatu wersalskiego. Senat stał na stanowisku, że zarządzenia miały charakter wyłącznie gospodarczy. Co do interesów polskich w porcie, Senat „gwarantował” Polsce „nadal” wolny dostęp do morza. Jak widać, ilość dewiz pozostawała nad Motławą w odwrotnym stosunku do tupetu prowodyrów gdańskich.

Dni te były kulminacyjnym punktem miniaturowej wojny celnej. Na czas krótki srawa Gdańska zagłęziła na forum międzynarodowym inne sezonowe sesacje. Przylatniała nawet przejęciowa wojenne pomruki, dobiegające coraz głośniej z Italii. Szczególnie dużo uwagi poświęciła jażciom nadbałtyckim prasa pańska, śledząca z niepokojem rozwój sytuacji w Europie Środkowej. Jej zdaniem napięcie w Gdańsku było niemieckim manewrem politycznym, nie zaś koniecznością gospodarczą. Rzesza chciała wymusić na Polsce szereg dogodnych dla siebie koncesji w Gdańsku, szantażowała zatem pietrozeniem trudności i zadrzeńiem w stosunkach wzajemnych między portem a zapleczem.

W dniu, w którym prezydent Senatu zagwarantował nam dostęp do morza, Rząd Polski zastrzył kontrolę celną na granicach Wolnego Miasta oraz wstrzymał obrotów towarów monopolowych i zwolnionych od cła. Graniczne rezerwy celne w Tezewie zostały powiększone, co dało powód nowym pogłoskom o koncentracji wojsk polskich i o pogotowiu floty wojennej w Gdyni. Z drugiej strony dobiegały wieści o zmasowaniu silnych oddziałów SS w Prusach Wschodnich na pograniczu. Ogólny niepokój utwierdzało zdwojenie posterunków policji gdańskiej oraz pogotowie bojowe gdańskiej NSDAP zarządzane przez Forstera. Kto pierwszy zajmie Gdańsk? Pytanie to było na ustach wszystkich, przede wszystkim — autochtosów.

Prasa usiłowała pocieszać ludność zapewnieniami, że wkrótce nadejdą transporty żywnościowe z Rzeszy na specjalnie dogodnych warunkach. Wiadomości te jednak nie były w stanie uradować praktycznych Gdańszczan. Niemieckie zboże i węgiel kalkulowały się znacznie drożej od produktów polskich. Pod względem gospodarczym realizacja hasła „zurück zum Reich” była kiepskim interesem.

Polityka i prasa nie mogły się tego roku uskarżać na okres przysiwowych ogórków.

Starego mieszkańca Sopotu, Oliwy czy Pruszcza nie obchodziła wielka polityka. Zapowiedziane produkty z Rzeszy nie nadchodziły, a drogi wiodące do Polski opustoszały, letnicy rozjeżdżali się. Dominującą pozycją w jadospisie pana Henckla stały się skromne „Wiener Würstchen mit Kartoffelsalat”. Tradycyjne „odwieczne, bogate firmy gdańskie przechodziły kryzys. Znany dom handlowy Stenzel, zatrudniający ok. 600 osób, zmuszony był wobec spadku obrotów o 40% wymówić pracę 180 pracownikom. Wiele firm transportowych rozpoczęło sładem Pagedu przenosić swe agendy do Gdyni. Dla karkołomnych wyczynów politycznych Senatu nie mogły ryzykować utraty stałej klienteli. Gdańsk zaczął pasa. Nerwy letników i kwiectwa nie dotrwały wytrzymałości psychicznej polityków „drugiego narodowo-socjalistycznego państwa na świecie”.

GDAŃSK IDZIE DO CANOSSY

Jednak i wytrzymałość tych ostatnich wyczerpała się niebawem. Już w dniu 8 sierpnia, a więc po tygodniu od zerwania jednosc celnej, (Dokończenie na str. 7-ej).

BECZKA NIEZGODY

(Nowela)

Drzwi rozwarły się szeroko i w mgle chlustającego z nich światła ukazały się dwie rosłe sylwetki męskie. Odprowadzały je roześmiane głosy dziewcząt.

— Wejta-le, chłopcy, a nie pokłócić się znów, bo doszłebsta do hecz chyba aż poreno.

— He, he, he.
— Jo tam nie jem do klótni taki hutki — odezwał się basem jeden z młodych rybaków. A zanim głos jego zdążył przebrzmieć, zmieszaly się z nim ostre, drzące słowa drugiego:

— Te ni, blos te twoje buksy.
Truda aż zachłysnęła się śmiechem, że to jej Józek zawsze spotrafił przymówić Józkiwu Leny.

— Tu niema nick do śmiechu — warknął bas.

Drzwi skrzyknęły i obaj chłopcy wypadli w ciemnię jesiennego wieczoru. Nieomal poomacku przebrnięli gąszcz lasu i dla skrócenia sobie drogi wydobyli się przez diunę na strond.

— Te be miał raz ta twoja Trud rzec, że ona do mnie nie ma nick — odezwał się po długiej chwili milczenia bas.

— Ona też nie chce mieć. To wiesz. — Czego tedy się śmiejesz?
— Bo je fajń dzieucha.

— Fajń dzieucha? — drwiącym głosem powtórzył bas. — Takiej ju be nie wziął, a choćby ona jedna beła na całym Helu.

— Lo mnie ona je w sam raz — odciął się ostry głos drugiego Józka. — Peszna je dzieucha, a te kuńc.

Pierwszy Józek uznał snąć te odpowiedzi za beznadziejną, bo zamilkł.

Wicher przelewał się pomiotami, że musieli mocno pochylić się naprzód, aby mu się oprzeć. To ni gadać już się nie chciało, bo i na co? Wiele zaś z tego nie usłyszałby. Chmurzyska kotłowały się tuż nad morzem, ale widać je było wtedy tylko, kiedy wiatr przeborował ich gąszcz nagle na wylot aż do tła jaśniejszego nieba. Wtedy groza morza waliła w oczy z taką mocą, że aż je ćmiło. Fale szły z morza na strond, niby wychelstywane nawałem pierzy z wielkiej balii. To znów niby zmydlone ściery rozplaszczaly się tłusto na brzegu, zamiatając wzwyz uciekające przed nimi kamyki, lub umykając z powrotem w kipieli morską przed nadbiegającym wylustem.

Rybaków zalewało aż po kolana. Ale skorznie mieli smarowane tego tranem dorszowym, to i nie przemiekły. A i co mieli robić? Trzeba było dojść do łodzi, aby ją głębiej na ląd wyciągnąć. Kto wie jak długo dać będzie wiatr i jak daleko na strond zajdą fale. Też ino gęby zastaniałi rekami, aby ten dech złapać — a szli.

Huk uderzających o siebie wzajem brył rozdeptanej wiatrem wody, trzask ścierania się żywych ścian, uciekających z strondu i walących w strond, gruchot kamieni miążdzących się o granitowy wał i szorstki skrzybot żwiru płątały się w chaos dźwięków z dudnieniem i świstem napastliwych pomiotów wiatru.

— A ..leche widro! — huknął nagle idący na przdzie Józek, chwytając się za obnażoną głowę. Nawalnica porwała mu czapkę i niby płacek z gliny rozplaszczyla ją na brzuchu kompana. Szczęście, że nie posła w świat.

Staneli wreszcie. Bez słowa wparli się w lódz i prawie unieśli ją, wciągając po oślizgłym żwirze daleko na ląd.

— Te to może leżyć — zadecydował bas.

— Ja by ją pchnął jeszcze perzynkę? dalej — brzęknął ostry głos drugiego Józka.

— Niechle ostanie tu.
— To pójma hutko do hecz, bo długo tu nie strzyma.

Zaledwie wszakże posunęli się naprzód kilka kroków, kiedy drogę zagrozdziła im czarna ruchoma masa.

Grzmiało głucho wokół niej, niby rowie strzele-kim podczas kanonu. Staneli.

— Eno, eno, cóz to je? — cofnął się jeden z Józków.

— To bandze z morza — rzekł drugi, podchodząc bliżej.

— Boja to nie je, bo tu krótko boi nie da.

— To je beczka z okrętu.
Obejrżeli dokładnie czarną masę, kiwali głowami i medytowali. Istotnie, była to wielka beczka, którą splukało prawdopodobnie z pokładu okrętowego. Pierwszy Józek kopnął beczkę. Zadużniła, ale nie ustąpiła. Sięgnął po nią ramieniem drugi Józek. Beczka była ciężka.

— A djachel, ta mo wagę!
— Jo, ona je ciżka.

Postali chwilę, jakby jeden czekał na decyzję drugiego, jakby podpatrywali się wzajemnie — wreszcie pierwszy Józek rzekł:

— To niema nick do zrobienia. I ruszył naprzód. Za nim przedierał się jego towarzysz. Po omacku prawie doszli do ścieżki wiodącej przez diunę ku wsi i zniknęli już całkiem w mroku.

— To dobranoc — bąknął bas.
— Dobrej nocy — odparł drugi głos.

Każdy z chłopców kierował się ku światłu swojej checy. Nad morzem trwał jednostajny, zgrzytliwy rechot. Beczka tacała się po strondzie tam i z powrotem.

Aż nagle posunęła się ku niej czarna sylweta. A w teże chwili i druga. Obaj chłopcy mieli ze sobą taczkę.

— Cóż ty tu cheesz?! — warknął bas.

— Masz te do niej prawo, do tej beczki? — odciął się ironicznie ostry głos drugiego Józka.

— Cóż to może być? — zastanawiał się któryś z rybaków, oglądając beczkę.

— Nic inszego, tylko dało tę beczkę z morza.

— Gwes! — potwierdził drugi, — ale co w niej je bene?

A ruchliwy Zielonka już świecił naokoło beczki i nazewnatr dopatrywał się jakichś znaków.

— Tu je widzicie merk! — oświadczył nagle z zachwytem.

Istotnie, na denku beczki był napis. Zielonka obtarł je rękawem i, jako człowiek najwięcej wykształcony we wsi, wziął się do odczytywania.

— Te ona je z Dancyku ta beczka.

— To bandze z jakiegoś przeladunku...

Zielonka obwąchiwał już skrupulatnie wielkie naczynie.

— To je doch „weinfass“ — zaopiniował.

— To może bec...

— Od wina je ona sicher?!. Ale co je w niej bene?

Zielonka już to wywyszył.

— Konjak!

Rybaków aż zatknęło. Żeby naraz aż tyle koniaku? Wierzyć nie chcieli, patrząc powątpiewająco na stójkę. Zielonka wszakże był pewny swego, a przyskakując do obu Józków po kolei, winał im, nieomal skomlać. Jenoz chłopcy naraz jakby jeszcze bardziej stwardnieli, zacięli się na kamień. Ani tego jednego słowa.

Skoło ma rozsądzić maszoperia niech rozsądzi.

Noc wspaniała niespokojnie, a i w całej wsi niejedna checza tej nocy długo.

Tymczasem wieś podzieliła się na dwa obozy. Jedną murem stanęli przy Józku Trudy, drudzy obrali sobie na przyszłego bohatera Józka Leny. A podzielił się równomiernie, żeby zarówno w razie wygranej jak przegranej i dla nich była sprawiedliwość. Boć z góry trudno było odgadnąć, kto wygra. To też o przynależności stronników do tej czy drugiej partii — decydowała zdeklarowana ich ilość, niby przy ogonkach formujących się pod dwoma zamkniętymi okienkami jednej kasy. Tak gadano otwarcie, bo w cichości ducha każdy ze stronników wierzył, że koniak „przydzicie po połowie, tedy dobrze, żeby i partie były czyste równe“. Najsprytnej wszakże zachował się Zielonka. Należał i do jednej i do drugiej partii. A każdej przysznawał rację. A każdego z Józków na osobności zapewniał, że to on właśnie wygra i przysądzoną będzie miał sobie beczkę koniak.

— Te mosz do nij prawo, boś jchycil pierwszy na karę — wyjaśniał narzeczonemu Trudy.

— Te mosz ją pierwszy zobaczonę — zarewniał Józka Leny — boć szedł z przodku.

A kiedy doręczył im wezwanie do sądu, nie mógł ukryć swej życzliwości.

— To wezwanie lo cie — wyjaśniał poufnie pierwszemu Józkiwu — to tak jakby już ten sprawiedliwy wyrok, że beczka twoja. Ja ce mówię — Zielonka.



— Ja doch mam ją pierwszy zobaczonę.

— Albo i ni.

— Pleszczesz byle co!

— Albo i ni!

I obie taczki naraz podważyły ciężką beczkę. Zsunęła się w bok. Chłopcy zwarli się. Pesk przy pesku, dech walił them. Warczeli niby psy koło gnata, trzymając się pod gardzieli żyłastymi łapami. Zaden nie chciał ustąpić, zaden nie mógł już ustąpić. Ba — niechby któryś z nich przódzi zdażył po tę zdobycz. Ale odrązu obadwaj! Nie. Wymyślały ich wieś, wymyślały Truda i Lena. Tedy ciskali w grzmot wichru, kamieni i fal słowa ludzkie, gorące, uporem a nienawiścią tchnące.

Jakoż, jak zwarli się nagle — tak nagle ich rozłaczono. Staneli pomiędzy nimi starsi rybacy, wracający ze strondu po wyciągnięciu swych łodzi. Wyjaśniło się wszystko. Ale kto z Józków był pierwszy ani sposób rozegnać.

— Jo, to nima jak, ino musi rozsądzić wie maszoperia?!

Przystal. Każdy był swego pewny.

Beczka wytoczona na ląd i przewieziono na taczce do wsi. Rzecz zrozumiała, że umieszczono ją na razie u soltysa. Przy ustawianiu jej na grubych podkładach chętnie pomagali zainteresowani wiece zdobyczą stójkę, Zielonka. Gęba mu się ślniła w błyskach okoponych latarni, a oczy raz w raz polyskiwały ciekawością. Chłopcy w milczeniu asystowali przy tej ceremonii.

go na świat patrzyła mętными ślepiami, że to nielada zdobycz — udało się Józkom.

Dnia następnego rada maszoperii wezwała na sąd szczęśliwych znalazców. Rozpytano ich — jak i co, ale nie to nie pomogło. Każdy z nich był pierwszy, choć w gruncie rzeczy obaj byli razem i przy znalezieniu i potem przy zabieraniu beczki. Tedy, pokiwawszy mądrze głowami, przedstawiciele maszoperii wydałi wyrok następujący:

— Pół dyla? z tej beczki dla maszoperii — niby za to rozsądzenie, — pół dyla lo was dwóch do równego, sprawiedliwego podziału.

Aż zagołowało się w chłopcach oburzenie. Jak to, oni znaleźli, a maszoperia chce zabrać pół dyla?! A niechby jednemu z nich oddała całką połowę, a sobie też połowę — tedyby gozdili się. Oburzony był i Zielonka, zaznaczając chępliwie:

— To dech nie je żaden sąd, żeby nie wiadomo, kto był ten pierwszy.

Tedy sprawa poszła do sądu. Beczką zaś nadal miał opiekować się soltys no... i Zielonka.

— Jak ma bec sprawiedliwość niech le bandzie. To musi z tym podziałem zacekać.

Młodzi rybacy zawzięli się. Szło już teraz nie tylko o ten honor, ale i o sam koniak. Beczka koniak! Na ileż to starczy? Jakież to wesele wyprowadzi Józek pierwszy z Leną, albo i drugi z Trudą? Cóż to o szczęśliwym znalazcy będą gadać ludzie we wsi

— Jo mam już z tym ponem sędzią mówione — oświadczył tajemniczo przy wręczaniu wezwania drugiemu Józkiwu, — twoja sprawa jest sicher Bandzesz pił, a wesele swoje zrobisz.

Na kilka dni przed terminem rozprawy o niczym innym też nie mówiono już we wsi, jak o obu Józkach i o ich koniaku. A zaciętrzewienie przeciwnych partii było tak silne, że raz w raz szły różne wypowiedzi z odleglejszych czasów. Ten temu nie mógł darować podziału ryb, tamten zbioru ziarna, czy bulew?, inny znów wspominał złośliwie wystawienie przez sąsiada chlewka — akurat naprzeciwko okien, wychodzących na świeże powietrze z nowej izby przeznaczonej dla letników. Zaś Truda i Lena, choć siostry, ani tym słowem nie odzywały się do siebie, gęgając jeno zawzięcie działami w obliczu stronników swych narzeczonych.

Narzeczeni zaś tak wzięli na ambit, że, aby się przypadkowo nie zetknąć nie odwiedzali swych brutek?!

Niechle jeszcze — powtarzał każdy z nich — to bandze jeszcze miał czas, jak da ten sąd.

Wreszcie nadszedł dzień sądu. A miało się już pod święta. Józkiwie stawali się punktualnie, wiodąc za sobą gromadę stronników — świadków. Stawiła się niemal cała wieś w komplecie. Brakło jeno Zielonki, jako że to urzędowa osoba — nie mogła zeznawać w takiej sprawie. Świadkowie zeznawali rzetelnie, jak pacierz. Każdy z

nich słyszał od Józka, że on pierwszy beczkę dojrzał, że on pierwszy załadował ją na taczkę, że on miał do niej bezsprzeczne prawo. Tedy sędzia spytał:

— Ale który z nich jest znalazcą? Jeden z rozumniejszych świadków, zdumiony tym pytaniem, wyjaśnił po nownie:

— To było, proszę prześwietnego sądu tak: ten Józek Jeske obnocy był idony strondem. A te dorazu widzi beczka z konjakiem. Te on do ni. A tedy ten drugi Józek Jeske rzekł: Jo mom ja pierwszy widziane — a te do niego. To się chycili pospołu — pesk kole peska. Zaś ten Józek Jeske rzecze: Jo mom do tej beczki prawo! A znów ten drugi Józek Jeske gada swoje. Te dalej się trząść. A na te pore me som akuratnie przyjdzone. A ta beczka pośrodu, a te chlapy na ni. A te kary podle nich zwrocone. Te się wodzą. Ten Józek Jeske najmilejby tamtego Józka Jeske we wodę. Tamten zaś ale naodwrot. A ta beczka po bok się turla. Som tedy słysze, jak ten konjak w ni chluboce. Te my do nich, niby do tych chlópów. Ten zaś Józek Jeske mówi — to moja, a tamten zaś...

— Ale na Boga! — przerwał zirytowany sędzia — który Józek Jeske i co mówi do drugiego?

— Te one obaj są Józki i Jeske po ojch także, bo u nas we wsi da wiele Jesków...

— Jakże wy ich rozróżniacie, ludzie?

— To doch już musz rozróżniać, wysoki sędzie — wyjaśnia świadek. — Ten jeden Józek Jeske jest wikszy od tego drugiego, to i ten głos ma mocniejszy.

— Ależ nie o to chodz! Jak wy ich rozróżniacie, kiedy mówicie o nich, nie widząc ich?

— Ale tego nikt ze świadków nie umiał wyjaśnić. Oczywiście, kiedy się mówiło o jednym, nie mówiło się o drugim. A o jednym mówiło się też

zawsze inaczej, niż o drugim. To było pewne.

— To już musi jakoś rozróżniać — na tym tle polegala cała odpowiedź.

Po krótkiej pauzie sąd zdecydował, że koniak należy pomiędzy ważniejszych podzielić.

Zapanowało głucho milczenie. A ponure to milczenie przeniosło się aż na wieś, gdzie spotkali świadków strapyony aż do lez Zielonka z mocno zaczerwienionym nosem. I panovalo tam tak długo, dopóki stojka nie zdecydował, że trzeba zglosic apelację. Przyklasnioto tej zdrowej myśli gromadnie. Chłopczy z całą gotowoscia wyzbyli się wspólnej łodzi, sumę osiągniętą ze sprzedaży rzetelnie podzieliili między sobą i każdy z nich wniost podanie o rozpatrzenie sprawy w sądzie odwoławczym.

Tedy znów na wsi zapanował jakitaki spokój, bo czasu na partyjne przepierki było jeszcze dosyc, stan zaś niezgody i przekonania o słusznosci każdego z Józków podtrzymywali dzielnie Zielonka, zarówno w powasniionych, jak i wśród ich stronników.

Zima była w całej pełni i złośliwa fala, która wsi przyniosła tyle niesnasek, choć zarazem i wiele rzetelnej rozrywki — szarymi, leniwymi językami oblizywała piaszczysty brzeg. Obaj Józkwowie ponuro siedzieli w swych checzach w oczekiwaniu na nowy wyrok, który, jak sumiennie i bezapelacyjnie zapewniał teraz Zielonka, miał być dla każdego z Józków zupełnie pomysłny, byleby tylko wytrwać aż do końca i nie ustąpić.

— To czasem tak da — mówił do narzeczonego Trudy, — że musi iść po swoje prawo aż do drugiej stancji. Bo po sprawiedliwosci, co by sądy robili, jakby ludzie chcieli się tak dorazu pogodzić? — Drugiemu Józkwowi powtarzał dosłownie to samo. Skutek tym razem był wszakże fatalny, gdyż Zielonka utracił już u obu stron swój autorytet, pomimo mocno zaczerwienionego i wszystko wiedzącego nosa.

— Nos mosz, jak ta gupia ćwikta, a rozumu chociałbś mnie uczyć — irytował się Józek Trudy.

Zaś Józek Leny prostru wyrzucił doradcę za drzwi.

— Pój precz, te komtorze¹⁰⁾ z czerwionym nosem! Przymawiasz się, bo chciałbś mój konjak pić. Ale jo ce ani powachać go nie dam.

— Ja doch mam od mrozu ten nos — oburzył się Zielonka. Ale choć dotkniety mocno obelga, jako urzędowa osoba, nie mógł tego brać na ambit i wezwanie do sądu apelacyjnego obu zważsionym rybakom we właściwym czasie doręczył z zapewnieniem o wygranej.

W sądzie okręgowym wypłynęła nowa poważna okoliczność. Mianowicie jeden z Józków zeznał pod przysięgą, że on pierwszy chwycił beczkę na swoją taczkę, podczas gdy drugi Józek tylko podważał ją i zrzucił.

Tedy drugi Józek rzeczowo wyjaśnił:

— To jest tak, panie sędzia: jego kara je perzno dlusza, to mogło też tak bec, że o pół tego koła bela z przodu. Ale żeby jo miał podważać i zrzucac — to ni! Na to mogę przysięgać.

Ta okoliczność zatem, która mogła przechylić wreszcie szalę, znów okazała się bez znaczenia. Tedy sędzia przemówił do rybaków tak:

— Nie chodz! Tu o to, kto z was znalazł beczkę pierwszy, bo tego, jak widzę, nie dojdziemy, ale o to, czy znaleźliście ją obadwaj razem. — Nieprawda?

Zaskoczeni takim postawieniem sprawy chłopcy milczeli. Sędzia zaś wyjaśnił dalej:

— Gdybyście bowiem mieli jedną taczkę i zaraz po natknięciu się na tę nieszczęśliwą beczkę pobiegli, oczywiście razem, do wsi po tę taczkę i obaj z tą taczką powrócili i gdybyście obaj bez sprzeciwu załadowali beczkę z koniakiem na taczkę — to do kogo należałoby według was ta beczka? Do maszoperi, do innych rybaków, czy do was obu pospołu?

— To je prawda, panie sędzio, — zgodzili się obaj chłopcy. Boć istotnie ze słów sędziego wynikało, że prawda widoczna była jak wół.

Wyrok sądu apelacyjnego potwierdził wyrok pierwszej instancji. Rybacy niby boczili się jeszcze na siebie, ale już nie o wyrok im szło, lecz o to, że dotychczas nie mogli zrozumieć oczywistej prawdy, ludzie zaś nie przestawali podtrzymywać ich w błędzie. A najbardziej już ten Zielonka!

Nadeszła wreszcie chwila podziału Obaj Józkwowie, z niecierpliwoscią lykając sline, stanęli w przedsonku chcący sołtysowej, gdzie zdeponowana była swego czasu beczka z koniakami. Sołtys po urzędowej i niemniej serdecznej przemowie, wskazał na beczkę i oznajmił, że mogą nią teraz zgodnie rozporządzać. To mówiąc, sięgnął ramieniem do historycznej już we wsi beczki, jakby chciał ją poklepać łagodząco, czy pożegnająco...

I nagle... Ramię jego, które ujęło górny obwód beczki, zdrtętwiało, wyprężyło się, targnęło niecierpliwie lekko. A naczynie zdrgało lekko, swawolnie, lekkomyślnie.

Chłopi zgłupieli. Ale sołtys wnet się pomiarzkował.

— Zielonka! — huknął. — Dzięcie, moje ledzie! Te to ten luder¹¹⁾ ma szetko ob zimę wypite!

Długo nie można było dziś znaleźć Zielonki. Znaleziono natomiast dwa pracowicie wywiercone otwory — jeden w górnym denku beczki, drugi — tuż nad jej denkiem dolnym. Obydwa szczerlinie były zatkanie korkami.

Po wyjęciu ich stwierdzono, że beczka jest pusta. A obaj młodzi rybacy długo jeszcze obwąchiwali ją chwile choć daremnie.

MIECZYSLAW JAROSŁAWSKI

1) zia pogoda. 2) trochę. 3) związek rybacki. 4) wiadomo. 5) we środki. 6) pewnie. 7) polowa. 8) ziemniaki. 9) narzeczone. 10) najdotkliwsze przewisko na Kaszubach. 11) łotr.

JANUSZ STEPOWSKI

GWIAZDY NAD KILWATEREM

(ciąg dalszy).

Trzeba przyznać, że owe cechy szczególne zostaty w dużej mierze zapoznane w ocenie charakteru marynarzy, tym więcej, że i oni sami nie ujawniają ich chętnie, wstydząc się na ogół swego gadustwa. Bo też w istocie nie są oni nawet mrukami, ani milczkami, za jakich tak powszechnie uchodzą. Co prawda, dopiero we własnym, dobranym gronie umieją dać upust swej gadatliwości z przyjemnością, opartą zresztą na wzajemności. W nieskończoność lubią wtedy odświeżać najstarsze wspomnienia, nicując je na wszystkie boki w nawiązaniu do czasów bieżących. Gruntownie i skrupulatnie, z dużym przy tym darem plastyki, sięgają będą w takich razach zarówno do najtkliwszych wrzuseń, jak i do najordynarniejszego słownictwa, z kunsztem, ktoremu obok akcentów rzetelności w odmalowaniu prawdy, trudnoby odmówić również i artystycznej maestrii.

Alieci podczas marynarskiego uchwytu lądu tylko kumple serdeczni mogliby się o tym przekonać, nikt inny, goziwszy. Nie raz z takich spotkań przygodnych, zwłaszcza wśród marynarzy niższych stopni, wyrosnie ważna decyzja zamustrowania się na inny statek, zalenież od otrzymanych wiadomości. W rzeczy samej, w takich, czy w innych horyzontach geograficznych, nie może to wpłynąć zasadniczo na zmianę marynarskich losów, odkąd żegluga po morzach i oceanach świata nabyła dużo własności, typowych dla tramwajarskiej jazdy, upodobniona do niej co raz bardziej z utykaniem po drodze na krótkich, przelotnych przystankach.

WIZJE TULACTWA

Najczęściej, z takich spotkań lądowych pozostanie jeszcze jedno wspomnienie, meblujące marynarską pamięć nową wizją, zawsze jednak tak samo, jak inne, odległą od ludzkiego szczęścia, niezmiennie tulącą, jakby wędrującą po bezkresie świata z okwiatem pajęczego puchu, z przęda mglistych oparów, z bezdna wypitych i czekających na wypicie - butelek. Po dniach kilku, jak zwykle, na wachtach będą oni

wszyscy tłumaczyć się przed swym sumieniem, że i tym razem w uchwycie lądu przecoczyli ważną godzinę życia, te nigdy nieosiągala, którą wymarzyli sobie, boją, że nawet z cherubinami i serafinami w stratosferze ducha.

W marynarskim życiu odkłada się zwykle takie wymarzenia na czas urlopu, choroby, lub owych chwil pustych, które, zawieszone w powietrzu między jednym, a drugim zamustrowaniem na statek, czynią pobyt na lądzie dalszym, lub krótszym, w zależności od wyczerpania zasobu gotówki. Spotyka się wtedy marynarzy w bibliotekach, w teatrach, na koncertach, w muzeach, albo w kawiarniach, gdzie chętnie w takich razach służą sami za żywe eksponaty morskiej galanterii. Są wtedy jednak nie tylko inni, ale jakby niepodobni do siebie.

Tego rodzaju współzycie ze światem kultury w granicach luksusu, lub czystej przypadkowości, trudno aby zawod marynarza podnosiło do wyżyn, godnych istotnego podziwu, lub prawdziwej zazdrości. W zespole jednej gromady, ucierają się tu różnice między szczytami enot, a przepaściami pospolitych grzechów, między rzetelną pojętą godnością zawodową, a rutyną w swiatowym zażegowaniu, między fachową wiedzą prawdziwego morskogo pracownika, wykształconego, wyszkolonego, o aspiracjach do stopni wyższych, a przeciętną wprawą, nabytą w „morskim globtreterstwie“, dla samego jedynie wyczenia się w żądach wybujałego temperamentu — nieokiełzanych, niespokojnych, nawet awanturicznych.

W ogólności, składa się to w życiu marynarskim na długą litanie zalet wzorowych i organicznych przywar, o diagnozach ustalonych, znanych doskonale w kartotekach każdego biura, angażującego załogę na statki. Obok rozpoznania krystalicznych właściwości charakteru i celujących umiejętności, kwalifikujących do każdego awansu, znalazłoby się w tych kartotekach niemniej wiele przykładów, świadczących o wybitnych uzdolnieniach marynarskiej gromady w różnych dziedzinach kanciarstwa i kombinatorstwa, uprawianych, jak przemytnictwo, z nalogowego proceduru.

PRAWA SOCJALNE

Zwykle przechodzi się nad tym bez większej uwagi. Nawet w stawianiu pewnych zarzutów marynarzom, przeważa powierzchowosc sądów złudnych nad istotnymi kryteriami. Stąd właściwie pozostawia się tych ludzi własnym ich losom, jakby poza nawiasem społecznej uwagi. W podobny sposób jak anacronizuje się ich w ocenie charakteru, nie odróżnia się w dalszym ciągu cech szczególnych ich pracy zawodowej, mimo poważnych zmian, jakie zaszły w ostatnich dziesiątkach lat w historii żeglarstwa, jak i samej żeglgi. A już najwymowniejszym tego dowodem jest przedziwna obojętność, z jaką do tej pory jeszcze traktuje się ich walkę o własne prawa socjalne. W latach przedwojennych, nie wywołała ona najmniejszego zainteresowania. Odległe echa na ten temat przyjęto u nas w owych latach jako zwyyczajny zatarg pracowników z pracodawcami o poprawę bytu. Jeśli chodziło przy tym o skargi na zle traktowanie, najlepiej rozumiano wtedy stanowisko pracodawców, powtarzając za nimi utarte zdanie, że marynarzy trzeba koniecznie trzymać w najsurowszym rygorze, nie folgując ani na jotę ich niesternej naturze.

A czy ktoś jednocześnie zatroszczył się o to, aby naprawdę, z bliska, poznać owe przepisy, jakie narzucono tym ludziom wraz z „Ustawą żeglarską“ w pierwszych latach przedwojennych o uzyskaniu niepodległości, kiedy wprowadzono ją zarazem jako regulamin „Umowy zbiorowej“, obowiązujący w naszej flocie handlowej wszystkich pracowników w stosunku do pracodawcy, armatora? Czy ktokolwiek wyraził przy tym zdumienie, że nasze władze, zamiast przystosować tę ustawę do warunków współczesnych, przejęły ją wówczas życiem z ustawodawstwa pruskiego, i to z 1902 roku?

Podczas gdy inne narody kilkakrotnie w ciągu lat pięćdziesięciu nowelizowały takie ustawy, u nas, nie dość że przyjęto najstarszą, obcą z ducha czasu i charakteru, uwłaczającą godności zawodowej pracy i poczuciu człowieczeństwa, ale nie przeprowadzono w niej zmian do 1939 roku. Dość tu będzie wspomnieć, że paragraf 91 tej u-

stawy w stosowaniu kar zalecał nawet chłostę, jak na średnio-wiecznych galarach. Według 34 paragrafu, zaden marynarz, nawet w chwili wolnej od zajęć, nie miał prawa zejść na ląd bez pozwolenia kapitana, lub oficera, uzależniają od nich każdy swój krok, na sposób niewolniczy, poddanczy, pańszczyźniany. Według paragrafu 36, czasokres codziennej pracy dla załogi pokładowej i hotelowej na transatlantyku, nie określały wachty, lecz — słonece. Trwała ona dla tej załogi bez przerwy, od świtu do zmierzchu.

Daremnie starali się nasi marynarze w ciągu lat przedwojennych o opracowanie nowej, polskiej ustawy żeglarskiej. Armatorom była ona wygodna. Nie pragnęli w niej inowacji, mogących ograniczyć wyzysk, stosowany wobec pracownika w szerokiej skali dotychczasowych uprawomocnień. To też, chociaż to zakrawa na absurd, jednak podczas ostatniej wojny z Niemcami obowiązywała wciąż jeszcze w naszej flocie handlowej pruska ustawa żeglarska, nawet wtedy, gdy zawarta we wrześniu 1942 roku umowa zbiorowa, stała już w stosunku do niej w rażącej sprzeczności.

W Polsce, przystąpiono do jej ponownego opracowania dopiero w czasach powojennych, w ramach demokratycznego ustroju, który pierwszy zadbał o unormowanie warunków pracy marynarzy, wnioskując w słuszne żądania poprawy ich bytu i życia.

Napartywszy się temu wszystkiemu do syta, bardzo zawsze współczułem marynarzom. Już dość wczesnie, w latach młodości, przestałem ich podziwiać, nie zazdrościć im bynajmniej ciągłego borykania się z losami wśród ciężkich i trudnych warunków życia. I dziś, uważam ich raczej za nieszczęśliwców, niż wykolejęnców, uganających po świecie za uśmiechem fortuny, bez možnosti jej uchwycenia i zatrzymania w duszy, na własność. (Dalszy ciąg nastąpi).

TYGODNIK WYBRZEŻA 5

Nr. 48 (122). 12.XII.48.

POLSKIE OKRETY W INWAZJI NA SYCYLJĘ I WŁOCHY

38 dni trwająca bitwa o Sycylię rozpoczęła się po kulminacyjnym bombardowaniu lotniczym lądowaniem z powietrza i morza w nocy na 10 lipca 1943 roku, na południowo-wschodnim wybrzeżu pod nazwą Licata a Syrakuzy. Wobec domsiebiej obrony wojsk włoskich, Niemcy — których garnizon na wyspie wynosił 10 000 ludzi — rozpoczęli dość wcześnie odwrót w kierunku południowo-wschodnim, do Cieśniny Messyńskiej. Była to jedyna droga, umożliwiającą im — wobec braku większej ilości statków handlowych — wycofać się na ląd stały. Dlatego też walki na Sycylii nie były zbyt zaciete, a straty obustronnie zanotowano niższe, niż w walce dotychczasowej. Około 45 000 Niemców i małe oddziały Włochów — przedało się na ląd stały, podczas gdy 150 000 ludzi — głównie Włochów — dostało się do niewoli, zaś kilkanaście tysięcy poległo. Łączne straty alianckie w zabitych rannych i zaginionych wynosiły 19 000 ludzi. Straty floty alianckiej, która wydawnie wspierała swym ogniem artyleryjskim lądowanie i walki wzdłuż wybrzeża, a zwłaszcza atakowała niemiecką przepławę przez Cieśninę Messyńską, były również nieznaczne i wynosiły 1 niszczytelni amerykańskiej, 2 brytyjskie okręty podwodne i 5 jednostek mniejszych. Na parset jednostek, biorących udział w sycylijskiej inwazji, była to doprawdy niska cyfra.

Podobnie jak i uprzednio we wszystkich ważniejszych operacjach, tak i w operacji sycylijskiej udział wzięły polskie okręty. Były to niszczytelni „Piorun” i „Śluzak” i „Krakowiak”, nie poraz pierwszy zresztą uczestniczące w działaniach śródziemnomorskich.

Jeżeli kontratak niemiecki, zwłaszcza na morzu, była podczas walk o Sycylię stosunkowo słaba, wypływać to mogło z chęci wycofania i skupienia jak największą siłę do walki o sam półwysp apeniński, zupełnie szustnie przez Anglików nazywany „miekkim podbrzuszem Europy”. Przekonał się o tym mogli niebawem alianci, gdy Niemcy rzucili do walki obok okrętów podwodnych i ścigaczy, także i liczne eskadry bombowców, z których niektóre były uzbrojone w nową bronię: bombę o napędzie rakietowym.

Przebieg późniejszych walk dało już wskazać bombardowanie niemieckich pozycji i baterii nadbrzeżnych, zgromadzonych na przeciwległym Sycylii brzegu Cieśniny Messyńskiej, w samym pauciu „dąb wioskowy”, pomiędzy kreggio Calabria a Pelaro. Pomimo, że ze strony alianckiej w ostrzeżeniu brony udziały pancerniki „Rodney” i „Nelson”, uzbrojone w działka najcięższego kalibru 406 mm, krążownik „Orion” i 9 dużych niszczytelni, wśród których znajdował się „Piorun”, pojedynczy artyleryjski był długotrwały i nadzwyczaj zacięty. Ostatecznie zaobserwowano duże eksplozje i pożary na lądzie, po czym nieprzyjacielskie baterie stopniowo zamilkły. Było to 31 sierpnia.

Następnego dnia w Cieśninie Messyńskiej panowała niewielka cisza, jak się jednak miało okazać — nie wrocząca nieprzyjacielowi nic dobrego, bowiem 2 września nad ranem rozpoczęło się nowe bombardowanie, jeszcze silniejsze od poprzedniego. Tym razem braty w nim udział stały pancerne „Warspite” i „Valiant”, dysponujące wprawdzie mniejszą siłą ognia niż „Nelson” i „Rodney”, obok nich jednakże wystąpiły 3 monitory o działach 383 mm, 2 lekkie krążowniki i 2 kanonierki oraz 6 niszczytelni. Wśród tych ostatnich — podobnie jak uprzednio „Piorun”.

Tym razem reakcja nieprzyjacielska była bardzo słaba i wkrótce artyleria nadbrzeżna zupełnie zamilkła. Wiosł zrzęzno wali zupełnie z walki, zaś Niemcy zaczęli popieszną dowrót na północ.

Rozpoczęła się natychmiast przetrąca aliancka przez cieśninę, nie napotykaląca na żadne przeszkody. W ciągu trzech dni

tych „regat messyńskich”, jak nazwano żartobliwie przepławę, przetransportowano na ląd stały 5300 pojazdów mechanicznych i Osma Armia mogła ruszyć w posęg za Niemcami.

8 września duża aliancka flota inwazyjna wypłynęła do Zatoki Salerno i krótko po obwieśczeniu podpisanej przed 5 dniami w Syrakuzach kapitulacji Włoch, Piąta Armia rozpoczęła lądowanie. Następnego dnia oddziały Osmej Armii zajęły jedną z najbliższych baz włoskich, Tarent.

W wyniku podpisanej kapitulacji flota włoska, bazując w La Spezia, Genui, Tarentie i Triestie, przeszła na stronę aliancką, przybывая na Malte. Jedną z eskadr została w czasie marszu zaatakowana przez niemieckie bombowce w Cieśninie Bonifacio (między Sardinia a Korsyka) i straciła najnowszą pancernik „Roma”, zatopiony bombami rakietowymi. W wykonaniu postanowień kapitulacji brał również polski okręt podwodny „Sokół”, który jako pierwszy okręt aliancki wpłynął do Brindisi, skąd następnie eskortował włoski okręt podwodny, udający się na Malte.

Punkt ciężkości walk w basenie śródziemnomorskim przeniósł się na półwysp apeniński, w Rejon Zatoki Salerno, gdzie od 8 września trwała „Operation Avalanche”.

Flota inwazyjna przeprowadzała desanty pod osłoną dwóch grup „szturmowych”, z których każda obejmowała krążowniki i monitory, niszczytelni i trałowce. Osłonę powietrzną lądującym wojskom dawały samoloty zaokręgowane na pięciu lotniskowcach („Unicorn”, „Hunter”, „Battler”, „Stalker” i „Attacker”), wchodzących w skład „Sil V”, dowodzonych przez kontradmirała Vian. Oprócz lotniskowców „Sil V” obejmowały 2 lekkie krążowniki i 10 małych niszczytelni, w ich liczbie polskie „Śluzak” i „Krakowiak”.

Wsparcie artyleryjskie lądującym wojskom dać miały okręty „Sil H”, odpowiedzialne także za ochronę zespołu kontradmirała Vian. „Sily H” składały się z 6 pancerników, 2 lotniskowców, 4 lekkich krążowników i licznych niszczytelni, wśród których znajdował się „Piorun”.

Niemcy tymczasem zebrali i rzucili do kontrataku poważne siły, wynoszące w dniu 13 września 4 pełne dywizje, którym

udało się zepchnąć oddziały alianckie na samo wybrzeże. W krytycznej chwili sytuację uratowały samoloty „Sil V” oraz działka okrętowe „Sil H”. Kozgrazka nadzwyczaj zacięta bitwa na lądzie, morzu i w powietrzu. Niemcy rzucili do walki bombowce, uzbrojone w bomby rakietowe, i obok kilku mniejszych jednostek zbombardowali pancernik „Warspite”. Było to 16 września, w dniu, w którym alianci poczynałi przechodzić do ofensywy. „Warspite” trafiony został kilkoma bombami, kilka dalszych detonowało w odległości kilku metrów od burt pancernika. Około 5 000 ton wedy weszło w kadłub pancernika, który — zanurzony półtora metra powyżej swej normalnej linii wodnej — z trudem mógł pływać niezmierną szybkością. Jeżeli pomimo tego wartościowy ten okręt został uratowany, pozostaje to równie wielką zasługą jego załogi, jak i towarzyszących mu okrętów, wśród których znalazł się „Śluzak”.

Inne koleje losów przechodził w tych najgorętszych dniach akcja pod Salerno „Piorun”. Należąc do eskorty pancerników „Sil H”, „Piorun” zestrzelił w czasie nocnego ataku eskadry bombowców niemieckich — 2 samoloty nieprzyjacielskie, podczas gdy 3 dalsze samoloty zostały trafione przez inne okręty eskorty. Następnie „Piorun” i niszczytelni brytyjskie odparły nie-

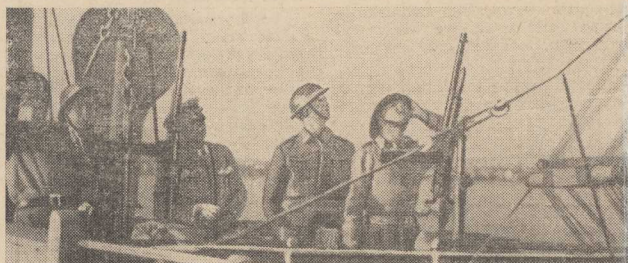
spodziewany atak niemieckich ścigaczy, zmuszając je do powrotu. Wreszcie, działalność swą ukoronował polski niszczytelni wyratowaniem zestrzelonego lotnika brytyjskiego.

Pod osłoną, położoną przez okręty, zapory ogniewe i wsparte własnym lotnictwem, wojska alianckie dokonały ugrpienia — po silnych bombardowaniach morsko-powietrznych w dniach 14 i 15 września — przeszły 16-go do ofensywy. Później został rozszerzony, lądowały nowe oddziały i bitwa o Salerno — nazywana „najodważniejszą z dotychczas przeprowadzonych operacji inwazyjnych” — została wygrana.

Także i później, zwłaszcza pod Neapolem, działały polskie okręty o boku jednostek sojuszników.

Dla pełności obrazu walk naszych jednostek w pierwszej fazie podboju wysp włoskich i lądu stałego należy jeszcze wspomnieć o sukcesach okrętów podwodnych „Dzik”. Okręt ten zaatakował nad wyraz skutecznie niemieckie jednostki morskie, ewakuujące w trzeciej dekadzie września 1943 wojska z Korsyki i zniszczył razem 11 jednostek, w tej liczbie 2 transportowce.

Jerzy Pertek



STEFAN BOROWSKI

Układ mórz i lądów

ZAGNIONE ŁĄDY

Kiedy wśród Rzymian krążył aforyzm: *navigare necesse est, vivere non necesse* — nauka i wiedza o morzach tkwiły jeszcze w powiśkach. Prawie dwie trzecie powierzchni kuli ziemskiej pokryte są wodą, stąd też od najdawniejszych czasów umysły ludzkie zdawały sobie sprawę ze znaczenia badania obszarów morskich. Babilończycy, Egipcjanie, Herodot, Pliniusz, Arystoteles mogli się nad pozami tajemnic morza; już Homerowi zdawało się, że ziemia jest wyspą, którą wieńcem otacza morze.

Rozporządzając skromnym zasobem wiedzy przyrodniczej i technicznej musieli starożytni ograniczać się do zdobywania najbardziej niezbędnych wiadomości z dziedziny ówczesnych zagadnień morskich. Badano gwiazdozbiory, prądy morskie i atmosferyczne oraz inne nieznanne zjawiska przyrody; głównie ad usum Merkurę, bo handel zamorski, jak dzisiaj, był wówczas i później ważnym bodźcem wypraw żeglarskich, oczywiście obok zawęćci Marsa, pod którego wojennym znakiem dokonano niejednego cennego odkrycia i niejednego nabytego doświadczenia, jak tego dowodzi homerowy opis Odyssei.

Powoli mnożyła się wiedza o morzu. W miarę jej pogłębiania się i dopływu doświadczeń wazyły się żeglarsze na coraz dłuższe i coraz niebezpieczniejsze wyprawy dalekomorskie, porzucając szlaki przybrzeżne. Tysiące lat minęły od zaczątków badań morskich, miliony statków przyniosły oceanu na swych groźnych, a także ciępliwych zarazem, falach. Pez wnikliwości ludzkiego rozumu i wysiłku rąk ludzkich wymagało przekształcenie odyssowej łupiny, igrzyski wiatrów i prądów morskich, w współczesne olbrzymie transoceaniczne, wchodzące z minutową prawie punktualnością do portów.

ŻYCIE GŁĘBIN MORSKICH

Jak powoli zdobywała ludzkość wieść o morzu dowodzi odkrycie istnienia życia w głębinach morskich. Zaledwie około połowy XIX wieku udało się odczytać nieruśzy kabel podmorski między Irlandia i Nowofundlandia. W 1860 roku trzeba było kabel, na skutek uszkodzenia, podnieść z dna morskiego, by go naprawić. Ku wleńtemu zdziwieniu przyrodników kabel oblażył w ciągu trzech lat niezliczone ilości nieznanych zupełnie nauce żyjątek, które przyniosły do głębin koloniami. Okazało się, że głębiny morskie nie są niezamieszkałe. Rozpoczęła się nowa era badań naukowych. Jedni badacze rozpoczęli na falach oceanicznych poszukiwania za drobnoustro-

jami planktonu, inni odkrywali przy pomocy barzo złożonych instrumentów niezwykle cuda przyrody w otchłaniach morskich. Niejedną już tajemnicę wydarło im przy meze nauki z techniką. Ile ich jednak strzegą bezkresne przestrzenie?

Powierzchnia kuli ziemskiej wynosi ok. 510 000 000 kilometrów kwadratowych, z których tylko 150 000 000 przypada na ląd, 360 000 000 natomiast na olbrzymią równinę oceaniczną. Gdyby obliczyć, w przybliżeniu chociażby, powierzchnię słodko-wodnych rzek, strumieni i jezior, obszary lądowe zmalałyby jeszcze poważnie w porównaniu z żywiołem płynnym.

Długość krawędzi lądu, na której styka się on z morzem, więc długość linii wybrzeży wynosi na kuli ziemskiej około 225 000 kilometrów. Udział poszczególnych kontynentów w tej długości jest bardzo nierówny, w zależności od kształtu brzoze-gu, konfiguracji prostej czy postępiętej przez morze na zatoki, fiordy, półwyspy lub wyspy przybrzeżne.

Stosunek obszaru kontynentów do linii długości ich wybrzeży jest następujący:

Obszar:	Długość wybrzeży:
Europa	10 000 000 km. kw.
Australia	9 000 000 km. kw.
Ameryka	38 000 000 km. kw.
Azja	44 000 000 km. kw.
Afryka	30 000 000 km. kw.

Na kilometr linii wybrzeży przypada więc lądu:

w Europie	320 km. kw.
w Australii	550 km. kw.
w Ameryce	580 km. kw.
w Azji	790 km. kw.
w Afryce	1150 km. kw.

Wymowy tych liczb nie trzeba podkreślać; zwłaszcza, jak bardzo od kształtów linii wybrzeży zależna jest różnorodność komunikacyj, żegluga i handlu w szczególności i w jakim stopniu wpływa to na rozwój cywilizacji i kultury kontynentów i zamieszkujących je narodów i ludów. Liczyb te mówią o wysokim poziomie cywilizacyjnym Europy i Ameryki, zstozu Azji i niewątpliwie, acz wygodnej, podatności dla cywilizacji Afryki po drugiej stronie światowej uważanej za kontyngent przyszłości gospodarczej.

Ani morza, ani lądy nie są — jak wadomo — przestrzeniami pojęciami niezmiennymi. Dokonujące się zmiany są jednak dla świadomości ludzkiej prawie że nie-dostrzegalne, bo odbywają się w czasie tak długim, iż nie sposób za nimi podążyć, i tylko ciępliwosć nauki odnajduje ślady tych zmian.

Już starożytni mówili o wspaniałej Atlantydzie, rozciągającej się mniej więcej od półwyspu Iberyjskiego do południowo-wschodnie brzozi Ameryki Północnej. Badania geologiczne potwierdziły istnienie jakiegoś połączenia kontynentów Starożytności i Nowego Świata w czasie kiedy nad dniejszą Europą północną, Rosją i Sycylią szumiał olbrzymi ocean, otaczający duże wyspy, jak na przykład Grenlandie. Węklug Darwinia Ocean Spokojny pokrywa śmiertelnym niejakim ciałem zaginiony ląd, przypominający naszemu światu niezliczonymi wyspami i wysepkami korallowymi. Stwierdzono, iż na wschodnim wybrzeżu Szwecji, w północnej jego części, podnosi się ląd o jeden metr w okresie stu lat, podczas gdy na zachodnim wybrzeżu chilijskim zmiany te wynoszą, po długich latach znieurochomienia, w czasie trzęsień ziemi nie raz po kilka metrów w ciągu godzin.

Znany geograf włoski Adriano Balbi sporządził chronologiczny spis ważniejszych, często gwałtownych, zmian, jakich dokonało morze w wybrzeży Europy od VIII wieku począwszy. Mimo zastrzeżeń przeciw historycznej prawdziwości najwcześniejszych zaliczenia dat, starczy wydrzezeń dla zadokumentowania twierdzenia, że w długim okresie czasu, obejmujących tysiące lat, wybrzeża tracą znaczenia granic lądów stałych, ustępując naporowi granic mórz. Oto kilka wydrzezeń:

R. 800 — 900. Burze zmniejszają pobrzeżę Bretanii; znikają dolny i liczne osiedla, — 800 — 950. Burze wprawiają w ruch martwe laguny Wenecji, w których wodach giną wyspy Ammiano i Constanciano. — 1044 — 1309. Bałtyk zatębia dużą poleć wybrzeży zachodnio-pomorskiej; rodzi się wieś o zatopieniu legendarnego Winety. — 1106. Martwe wody lagun weneckich zatębiają znacznie miasto Malamocco. — 1240. Zmienia się poziom zachodniego Szwecji, znaczne obszary żwonej ziemi pochłania Morze Północne. — 1303. Część Rugli i szereg osiedli na wybrzeżu Pomorza ulegają zatopieniu.

Przytoczone wydarzenia stanowią zaletę część stwierdzonych w wybrzeżach Enoy zmian, które spowodowały uszczerbki w masie kontynentu. Bywało jednak i bywa odwrotnie; kontyngent doznaje przybytku, jak w pobliżu Oleron we Francji, pod Håthe w Anglii i innych krajach. Nie są to oczywiście zjawiska wyłącznie euro-



Co każdy o chmurach wiedzieć powinien

pejskie. W 1726 roku zamienili gwałtowny orkan obszary Araya w wenezuelskiej prowincji Cumana w rozległą zatokę, a jezioro Aboukir w dolnym Egipcie powstało z tej samej przyczyny w 1784 roku. Ogrom obszaru wodnego nastrocał trudności nie tylko żeglarzom lecz i uczonym, którym dużo kłopotu sprawiała geograficzna penetracja tych przestrzeni. Nauka dążyła do podziału owego olbrzyma wodnego na części.

GLÓWNE BASENEY WODNE

Rzut oka na mapę pozwala rozeznaczyć cztery główne baseny wodne. Dwie masy największych kontynentów, Stary i Nowy świat, oddzielone są od siebie Atlantykiem i Pacyfikiem. Dookoła bieguna północnego rozciąga swe wody Ocean Południowy, łączący się z Oceanem Spokojnym przez wąską cieśnię Beringa, z Atlantykiem przez Morze Grenlandzkie. Czwarły wreszcie basen oceaniczny, Ocean Indyjski, na południu wyraźnie oddzielony jest od Azji, od Oceanu Atlantyckiego przez kontynent afrykański, od Pacyfiku przez wyspy Sandwichskie; graniczy natomiast z Atlantykiem między Afryką Południową a Antarktydą a z Pacyfikiem między Antarktydą a Nowozelandią.

Każdy z oceanów posiada swe wyróżniające go cechy. Ocean Polarny jest mroźny, ponury i niegodziwy; Indyjski odznacza się upałami i wiejącymi nad jego obszarami w okresach półrocznych wiatrami. Oceany Atlantycki i Spokojny tworzą dziwny kontrast, stwierdzony po raz pierwszy przez Maury'ego. Atlantyki rozłożył się na osi północno-południowej, Pacyfik na osi wschodnio-zachodniej. Prądy Atlantyku płyną wąsko i szybko z południa na północ i odwrotnie, Pacyfiku powoli i szeroko między równikiem a południowymi obszarami oceanu. Pacyfik zasila parą wodną chmury, natomiast chmury zasilają opadami Ocean Atlantycki, który przyjmuje ich pięć razy więcej aniżeli Pacyfik i jest oceanem bardziej burzliwym, jak Pacyfik najspokojniejszy.

STEFAN BOROWSKI

MAŁA WOJNA NERWÓW W R. 1935 (Dokończenie ze str. 3-ej)

Gdańsk wycofał swe ostatnie zarządzenia celne. Greiser ujął się do Canossy, którą tym razem zastał gmach Urzędu Morskiego w Gdyni, gdzie Beck przed wyjazdem do Finlandii, udzielił buntownikom prezydentowi półgodzinnego posuchania w cztery oczy. Właściwym jednak zwycięzcą było nie MSZ, lecz minister skarbu, który w łatwy i skuteczny sposób potrafił wykazać Senatowi czym jest Gdańsk bez Polski, skazany na interwencyjne dostawy ze źródła swych natchnień politycznych.

×

Gdańskie lato 1935 r. miało wszystkie cechy pouczającej lekcji historycznej. Z jednej strony dawało wyrazisty przykład znaczenia i skutków gospodarczej zależności ujścia Wisły od naturalnego zapieca, dominującego czynnika w dziejach Gdańska — z drugiej mogło być dla bieżącego obserwatora wymowną oznaką doskonałości metod politycznych III Rzeszy. Stuczenie wywołana wojna celna była kamieniem probierczym środków, które niebawem znalazły swe zastosowanie w Australii i Sudetach. Była to, sucha na razie, zaprawa szkoleniowa zagranicznych kadr nazistowskich. Gdańscy pełnomocnicy Führera dali Seys-Inquartowi i Henleinowi pogłówną lekcję, jak się należy zabierać do realizacji hasła „zurück zum Reich”.

Rokowania potoczyły się torem większej niechęci. Trwały znacznie dłużej niż właściwa wojna. Zrywały je kilkakrotnie nowe burzliwe wystąpienia Greisera. Gospodarczo rozszerzyły co prawda obieg złotego na teren Wolnego Miasta. Cła miały być na całym polskim obszarze pobierane w złotych. Był to jednak sukces tylko gospodarczy. Politycznie Gdańsk staczał się coraz szybciej w przepaść awantury.



Chmury w naszym klimacie są zjawiskiem tak pospolitym i tak zdążyliśmy przywyknąć do ich widoku, że w rezultacie mało kto zastanawia się głębiej nad ich istotą. Przeciętni zjadacz chleba zwykle się martwi, gdy niebo zaczyna pokrywać się chmurami, gdyż zdaje sobie sprawę, że grozi to deszczem. Wycieczkowie i urlopowicze, którzy przyjechali użyć kąpielii i słońca na naszym Wybrzeżu, przeklinają z reguły na całego nikomu nie potrzebne ich zdaniem chmury, które zwłaszcza w tegorocznym sezonie jakby specjalnie uwzięły się na nich. O rolnikach powszechnie wiadomo, że już z zasady narzekają na pogodę, więc i na chmury patrzają krzywym okiem, pomimo, że bez nich nie byłoby życiowego deszczu. Natomiast zrozumielią jest całkiem rzeczą, że u marynarzy i lotników chmury nie mogą cieszyć się zbytnią sympatią.

Oprócz meteorologów i osób zamierzających w obserwowaniu zjawisk przyrodniczych, jedynie ludzie morza i powietrza wyróżniają się głębszą znajomością chmur. Nic dziwnego — praca bowiem w tych dziedzinach jest ściśle uzależniona od przebiegu zjawisk atmosferycznych i dla sprawnego funkcjonowania żeglugi morskiej, czy powietrznej, niezbędna jest dokładna znajomość stanu atmosfery, a więc i zachmurzenia. A ponieważ znajomość ta wśród ogółu społeczeństwa nie jest zbyt wielką, więc celem niniejszego artykułu będzie uzupełnienie tej luki, która w naszym mieście morskim nie powinna istnieć.

KLASYFIKACJA CHMUR

Wszystkie chmury klasyfikuje się według wysokości i według formy. Zasadniczą podstawą klasyfikacji jest wysokość, w jakiej dane chmury występują. W zależności od niej, ustalono 4 główne grupy (rodziny) chmur, które poniżej podajemy:

- I) Chmury wysokie — ponad 6 km wys. zbudowane z kryształków lodu.
- II) Chmury średnie — od 2—6 km. wys.
- III) Chmury niskie — od pow. ziemi do 2 km wys.
- IV) Chmury o dużym rozwoju pionowym — od 0.5 — 9 km. wys.,

TABELA KLASYFIKACJI CHMUR

Rodzina lub grupa	Rodzaj	Wys. podstawy
Chmury wysokie	Cirrus (Ci)	Pomiędzy 6 — 12 km
	Cirro-cumulus (Cc)	
	Cirrostratus (Cs)	
Chmury średnie	Alto-cumulus (Ac)	Pomiędzy 2—6 km
	Alto-stratus (As)	
	Stratus (St)	
Chmury niskie	Strato-cumulus (Sc)	Pomiędzy 0—2 km
	Nimbo-stratus (Ns)	
Chmury o dużym rozwoju pionowym	Cumulus (Cu)	Pomiędzy 0.5 — 2 km
	Cumulo-nimbus (Cb)	

KRÓTKI OPIS POSZCZEGÓLNYCH RODZAJÓW CHMUR

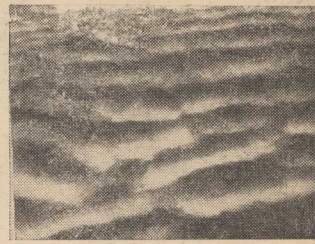
Z kolei przystępujemy do wyjaśnienia podanych powyżej nazw, łącznie z krótkim przeglądem cech poszczególnych rodzajów chmur.

- 1) **Cirrus** (chmura pierzasta) występuje w postaci delikatnych białych nici lub włókien, odbijających się wyraźnie od niebieskiego tła nieba. Często przybierają formę haków lub szponów. Na ogół rozmieszczone są nieregularnie, czasami uszeregowane w długie wały. Pojawienie się Cirrusów zwiastuje zwykle zmianę pogody.
- 2) **Cirro-cumulus** (pierzasto-kłębiasta) — są to małe, białe kłębki lub strzępy, bez cieniów, rozłożone gromadami lub szeregami, często o ukształtowania falowym. Noszą one popularną nazwę „baranków”, które zwykle są zapowiedzią słońca.
- 3) **Cirro-stratus** (pierzasto-warstwowa) — jest to cienka, biaława zasłona, poprzez którą są wyraźnie widoczne zarysy słońca lub księżycy. Chmury te są przyczyną kręgów świetlnych dokoła słońca lub księżycy (halo), które są spowodowane załamaniem się światła w kryształkach lodowych. Halo jest w astuce pogorszenia się pogody.
- 4) **Alto-cumulus** (kłębiasta wysoka) występuje w postaci warstwy fald, złożonych z wielkiej ilości małych chmur. Stuplają się one w grupy, linie lub fale, ułożone w 1 lub dwu kierunkach i leżące niekiedy tak blisko siebie, że ich brzegi się łączą ze sobą.
- 5) **Alto-stratus** (warstwowa wysoka) — jest to gęsty, jednorodny obłok, czarny lub białawy, pokrywający zwykle całe niebo. Słońce lub księżyc początkowo są widzialne poprzez chmurę, ale stopniowo znikają. Zwykle chmura ta zmienia się w chmurę deszczową (Nimbo-stratus), a więc pojawienie się As wroży słońcu.
- 6) **Stratus** (warstwowa) — jest to pobroszt mgiła, wzniesiona nad ziemią w pewnej wysokości (poniżej 1000 m) jako warstwa pozioma. Chmura ta dostarcza zwykle opadu w postaci „siąpiącego” deszczu, lub rzadkich płatków śniegu. Nad morzem St występuje głównie ponad obszarami zimnych wód, nad lądem zaś

Chmury trzech ostatnich grup zbudowane są z drobniutkich kropelek wody, z wyjątkiem najwyższych partii w grupie IV, utworzonych z kryształków lodu. Według formy, czy ukształtowania chmur, wyróżniamy:

- A) Chmury pierzaste (Cirrus).
- B) Chmury warstwowe (Stratus).
- C) Chmury kłębiaste (Cumulus).

Uwzględniając powyższe formy chmur i ich wzajemne kombinacje, każdą rodzinę chmur podzielono dalej na 2 lub 3 rodzaje, tak, że w sumie otrzymano 10 zasadniczych rodzajów chmur, które występują najczęściej i posiadają znaczenie praktyczne. Rodzaje te oznaczamy międzynarodowymi nazwami łacińskimi, które w nauce są konieczne — oczywiście nie po to, by ludziami przysparzać kłopotu, lecz



Strato-mumulus (Sc)

ochłodzenia się pary wodnej, zawartej we wznoszących się masach powietrza. Jeżeli bowiem słońce silnie operuje nad lądem, to wówczas ziemia łatwo się rozgrzewa, ogzewając równocześnie znajdujące się nad nią powietrze, które, jako lżejsze, unosi się do góry. Tam jednak dostaje się ono pod coraz to niższe ciśnienie i dzięki temu rozpręża się. Z fizyki zaś wiemy, że przy rozprężeniu gazu temperatura jego zawsze się obniża, w przeciwieństwie do rozgrzewania się gazu przy jego ściśnieniu (np. znane wszystkim cyklindrom rozgrzewanie się pompki rowerowej przy wmpompowywaniu powietrza).

A więc gdy masa powietrza unosi się w górę, to musi nastąpić obniżenie się jej temperatury. Ponieważ im wyższa jest temperatura pewnej objętości powietrza, tym większą ilość niewidocznego pary wodnej może ona zawierać w sobie, więc przy ochładzaniu się całej masy do temperatury, zwanej punktem rosy, nadmiar pary wodnej musi się skroplił w postaci kropelek wody, widocznych dla obserwatora z ziemi jako chmura kłębiasta (Cumulus).

Widzimy więc, że Cumulus są wynikiem działalności prądów wstępujących rozgrzanego powietrza. Inaczej Stratusy. Leżą one zwykle jako płaszczyna graniczna pomiędzy 2-ma różnymi warstwami powietrza. Jeżeli masa cieplejszego powietrza spotka się z masą chłodniejszego, cięższego, o łagodnym stoku, to wówczas na granicy obu warstw para wodna, zawarta w masie cieplejszego powietrza, ochładzając się, musi się skroplił i dzięki temu powoduje powstanie zwartej ławy chmur warstwowych, jak widać to na załączonym rysunku.

Jeżeli para wodna zostanie uniesiona w wysokości, gdzie panuje temperatura poniżej zera, to wówczas, z powodu przekroczenia punktu zamarzania, tworzą się małe kryształki lodu. To nam wyjaśnia, dlaczego Cirrusy i inne chmury wysokie zbudowane są właśnie z kryształków lodu.

DESZCZ

A teraz parę słów o powstawaniu deszczu. Początkowo chmurę składają się z b. drobniutkich kropelek. Te jednak, wraz ze wzrostem chmury, stają się stopniowo coraz większe, łącząc się ze sobą i w końcu są za ciężkie, by mogły być utrzymane przez wstępujące prądy powietrza. Spadają one wówczas na ziemię jako deszcz.

Deszcz, padający z chmur kłębiastych, ma większe natężenie i trąda się ze znacznie większych kropeł, niż w wypadku chmur warstwowych. Gwałtowniejsze bowiem prądy wstępujące w rozmiarach kłębiastych (zwłaszcza w Cb) są w stanie utrzymać większe krople, niż stosunkowo słabe prądy w chmurach warstwowych. Te ostatnie dają zwykle deszcz siąpiący t. zw. mżawkę (kapusniadek).

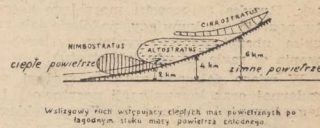
Na zakończenie należy podkreślić, że rzadko spotykamy na niebie tylko jeden rodzaj zachmurzenia. Ze względu na różnorodność prądów powietrznych i nierównomierność w nagrzewaniu się różnych pociągów i mórz, chmury wykazują tendencję do ciągłej zmiany form, a nawet i rodzajów. Dzięki temu, już po paru godzinach wygląd nieba może przybrać całkiem odmienny charakter: stąd obserwacja zachmurzenia może sprawić nieraz sporo trudności. Jedynie jak najczystsze obserwacje i notowanie wszelkich zmian doprowadzić mogą do pozytywnych wyników, niezbędnych przy ustalaniu prognozy pogody.

Krzysztof Prawdzic Layman

TWORZENIE SIĘ CHMUR

Po zapoznaniu się z powyższymi 10-ma rodzajami chmur, Czytelnik będzie już miał ułatwioną obserwację nieba i po pewnej praktyce nauczy się odróżniać i wyodrębnić poszczególne rodzaje. Nie będzie to tylko beznadziejna rozrywka, gdyż dobra orientacja w zachmurzeniu ma duże znaczenie praktyczne w związku z określeniem stanu pogody i prognozą jej na przyszłość. Temu tematowi pragnę poświęcić dalsze artykuły w „Tygodniku Wybrzeża”. Teraz zaś jeszcze należy wyjaśnić sposób powstawania chmur.

Jak już wiemy, chmury składają się z drobniutkich cząstek wody, lub kryształków lodowych. Stąd się one wzięły? Otóż wszystkie chmury są wynikiem



Problemy władzy państwa nabrzeżnego

Mało się znane na ogół w Polsce zagadnienia morskiego prawa międzynarodowego i mało o tym dotychczas pisano. Posiadamy w naszej literaturze prawniczej kompilacje dotyczące tego tematu, jak Samy Z. „Międzynarodowe publiczne prawo morskie w czasie pokoju i wojny”, czy Cybichowski Z. „Prawo międzynarodowe publiczne i prywatne”, lecz są to prace wydane jeszcze w r. 1932-33, więc nie uwzględniają szeregu nowszych momentów. Jest powojenna praca prof. Ehrlicha „Prawo Narodów” i Makowskiego J. „Podkreślenie prawa międzynarodowego”. Lecz są to wszystko opracowania natury ogólnej.

Dlatego można uważać za pionierski w czyn Instytut Bałtyckiego wydanie pracy Dra R. Zaorskiego, Kierownika Studium Prawa Morskiego w Biurze Studiów Instytutu Bałtyckiego, p. t. „Władztwo na morzu przybrzeżnym”, pracy badającej w wyczerpujący i wszechstronny sposób jeden z najciekawszych problemów prawa morskiego, jakim jest stan prawny na morzu przybrzeżnym, istota władzy państwa nabrzeżnego nad swoim morzem, jego kompetencje i ograniczenia, narzucone przez prawo międzynarodowe, stojące w obronie świętej zasady wolności żeglugi.

Autor w oparciu o literaturę zagraniczną oraz w dyskusji z nią i o wspomniane powyżej kompilacje polskie daje dokładny obraz rozwoju idei morza przybrzeżnego i dla chwili obecnej uwzględnia również koncepcje i decyzje ostatnich lat powojennych.

„MORZE ZAMKNIĘTE” A „WOLNOŚĆ MÓRZA”

Geneza problemu morza przybrzeżnego, tj. pasa wody, ograniczonego z jednej strony brzegiem i wodami wewnętrznymi z drugiej zaś stroną pełnym morzem, wywodzi się z walki pomiędzy dwoma skrajnie różniącymi się między sobą pojęciami, mianowicie: między zasadą morza zamkniętego (mare clausum) głoszącą nieograniczone zawłaszczenie morza przez państwo nabrzeżne — a zasadą wolności morza (mare liberum).

Te sprzeczne pojęcia, z których raz jedno raz drugie od czasów starożytnych na przestrzeni dziejów odpowiednio do ducha epoki, oraz napięcia i znaczenia obrotu międzynarodowego stanowią wyczerpującą całość rozwiązywania współzależności państw na morzu, doprowadziły w czasach nowożytnych do kompromisowego rozwiązania, w duchu nowoczesnej zasady wolności żeglugi. Rozwiązanie to przedstawił szereg lat ewoluujących zostają sformułowane na Konferencji Kodyfikacyjnej odbytej w Hadze w 1800 r., gdzie ogólnie zostało przyjęte pojęcie morza przybrzeżnego, uważanego za przedłużenie terytorium lądowego i poddane władzy państwa nabrzeżnego. Jakkolwiek w kwestii istoty władzy tej, jej definicji, a nawet nazwy cytowanego pasa wody i jego szerokości panują wciąż jeszcze sprzeczne zdania, jednak praktycznie wzrastający jest dziś uznana i honorowana norma prawa wyczerpującego, fakt morza przybrzeżnego o szerokości przynajmniej 3 mil morskich, gdzie państwo nabrzeżne uprawnione jest do naturalnego jego wykorzystania i do wykonywania jurysdykcji wedle swoich wewnętrznych przepisów prawnych.

EKSPLOATACJA BOGACTW MORZA

W zakresie wykorzystania morza państwo nabrzeżne zazwyczaj zastrzega dla swych obywateli prawo żeglugi przybrzeżnej i handlu przybrzeżnego; wykonuje nadzór nad rybołówstwem, już to rezerwując prawo łowienia ryb dla swych obywateli, już to przynajmniej pewne ograniczone prawa cudzoziemcom. W związku z wykorzystaniem dna morskiego, prawa używane w zasadzie przez Konferencję Kodyfikacyjną w Hadze, na morzu przybrzeżnym, autor sygnalizuje zupełnie nowy aspekt tego prawa nie poruszany dotychczas w literaturze, dotyczący granic za właszczenia dna morskiego, a zwłaszcza pasa podmorskiego. Problem ten wywnioskował się w Ameryce po wydaniu proklamacji prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki w dniu 15 września 1845 r., dotyczącej naturalnych zasobów dna morskiego i podziemi w podmorskim pasie kontynentalnym. Bogactwa dna morskiego i wnętrza ziemi pod morzem przedstawiają dla państwa również wielkie znaczenie jak wody morza przybrzeżnego. Chodzi tu o złoża mineralne, których żyły ciągną się jeszcze z głębi morza. Tak ustawodawstwo Ameryki Środkowej i Południowej jak proklamacja Stanów Zjednoczonych stoi na stanowisku, że żyły mineralne obszarów pod wodą, będące przedłużeniem pokładów znajdujących się w głębi lądów, należą w całości do państwa, również poza granicami morza przybrzeżnego, co wedle powyższych opinii nie koliduje z zasadą wolności żeglugi. Sprawa ta podniosła była na posiedzeniu Towarzystwa Prawa Międzynarodowego w Brukseli w wrześniu 1905 r. i wywołała żywe dyskusje. Wskazywano na to, że eksploatacja tych zasobów nie koliduje z zasadą wolności żeglugi, gdyż eksploatacja ta ograniczałaby się do wydobycia i transportu tych zasobów.

Poza eksploatacją bogactw morza nabrzeżnego i pasa podmorskiego, państwo nabrzeżne z natury swego władztwa wykonuje administrację, oraz jurysdykcję cywilną i karną na morzu przybrzeżnym.

W zakresie administracji do państwa nabrzeżnego należy nadzór nad wybraniem, żegluga, administracja celna, sprawy sanitarne, ochrona wybrzeża, kontrola bezpieczeństwa żeglugi. Podstawę prawną tej kontroli dotyczącej bezpieczeństwa żeglugi stanowią konwencje międzynarodowe.

Przepisy celne służą jako obrona interesów gospodarczych państwa nabrzeżnego, a szereg państw usiłowało rozszerzyć swój obszar celny poza istotne granice swego morza przybrzeżnego drogą stwarzanych ad hoc stref przyległych.

JURYSDYKCJA CYWILNA I KARNA

Jurysdykcja cywilna wykonywana przez państwo nabrzeżne opiera się wyłącznie na wewnętrznych przepisach prawnych i ze względu na zasadę wolności morza nie ma tak bezwzględniego zasięgu, jak jurysdykcja karna. Wedle prawa zwyczajowego, statek obcy przepływający przez morze przybrzeżne nie może być zatrzymany np. dla przeprowadzenia sekwestracji lub ze względu na znajdującą się na pokładzie osobę, ściganą przez prawo.

Jurysdykcja karna opiera się z jednej strony na suwerenności państwa nabrzeżnego, z drugiej na zasadzie wolności żeglugi, objawiającej się w prawie nieszkodliwego przepływu. W ramach tych państwa nabrzeżne wykonuje jurysdykcję karną w wypadkach pogwałcenia przepisów porządku publicznego i bezpieczeństwa na morzu przybrzeżnym.

Wedle praktyki francuskiej przestępstwo popełnione na obcym statku handlowym w porcie zagranicznym przez członka załogi przeciw innemu członkowi załogi podlega jurysdykcji państwa nabrzeżnego tylko w wypadku, gdy spokój w porcie został zakłócony lub jeżeli wezwano pomocy ze statku. Wedle praktyki angli-

skiej zaś, każda zbrodnia dokonana na morzu przybrzeżnym podlega sądom brytyjskim, nawet na obcym statku bez względu na to czy sprawcą jest obywatel angielski czy nie.

Prawo nieszkodliwego przepływu jest również ograniczeniem władztwa państwa nabrzeżnego na morzu przybrzeżnym. Państwo to rezygnuje ze swej nieograniczonej suwerenności pozwalając obcym statkom na przepływ przez swe morza przybrzeżne w granicach zgodnych z zasadą wolności żeglugi.

Pomimo tych ograniczeń, autor definiuje istotę jurysdykcji państwa nabrzeżnego na swym morzu przybrzeżnym, jako opartą na teorii suwerenności. Z punktu widzenia prawa narodów władza państwa nabrzeżnego ma charakter specjalny i określona jest fizyczną konfiguracją morza z jednej strony i geopolityczną sytuacją z drugiej strony. Panowanie nad morzem różni się od panowania na lądzie jedynie pod względem fizycznym. Nie ma prawnych różnic pomiędzy jurysdykcją administracyjną, cywilną i karną w konwencji przez państwo na morzu przybrzeżnym i na swym terytorium lądowym. Ograniczenie w postaci prawa nieszkodliwego przepływu wynika tylko z norm prawa zwyczajowego, które nie koliduje z ogólną koncepcją suwerenności. Nowoczesna teoria suwerenności nie posiada charakteru absolutnego; istniejące ograniczenia nie zmieniają jej istoty. Prawo międzynarodowe ogranicza wykonywanie każdej suwerenności.

POLSKIE MORZE PRZYBRZEŻNE

Praca dra Zaorskiego traktująca temat swój na wysokim poziomie naukowym, posiada poza tym walorami jeszcze bardzo cenną praktyczną wartość. Autor bowiem przedstawia przy okazji omawiania poszczególnych czynników władztwa na morzu przybrzeżnym, stan prawny polskiego morza przybrzeżnego tak pod względem treści wykonywanej suwerenności, jak i pod względem formy kompetentnych władz.

„PRZEGLĄD ZACHODNI”

Najnowszy numer młodego, ale zasłużonego zwłaszcza na polu badań stosunków polsko-niemieckich, organu Instytutu Zachodniego w Poznaniu jest bardzo ciekawy; trzonem jego są trzy obszerniejsze prace, a mianowicie Z. Wojciechowski, J. Bergera i M. Gumowski. Bezspornie najciekawszą jest praca Wojciechowskiego pt. Bolestaw Chrobry i kryzys stosunków polsko-niemieckich. Jest to referat, który Zygmunt Wojciechowski, profesor Uniwersytetu Poznańskiego i dyrektor Instytutu Zachodniego wygłosił dnia 22 września 1948 roku we Wrocławiu na zakończenie VII Zjazdu Historyków Polskich. Przywykliśmy do tychczas powszechnie sądzić, że Mieszko I, a zwłaszcza Bolestaw Chrobry, byli zdecydowanymi i nieprzejednanymi wrogami Niemiec, nieuczynni i każdego z Niemców z osobna. Chrobry urosł w społeczeństwie polskim do roli sztandaru anty-niemieckiego. Profesor Wojciechowski obala tę legendę i w śmiałym rewizjonizmie wykazuje, że Chrobry wręcz przeciwnie był rzecznikiem pokoju, porozumienia i współpracy z Niemcami, pod jednym wszakże, bardzo ważnym warunkiem: pod warunkiem uznania Polski i Polaków za partnerów równocześnie z Italią, Francją, czy Niemcami. „Rok 1000, rok zjazdu gnieźnieńskiego, stanowił punkt szczytowy tej współpracy” — pisze prof. Wojciechowski. Bardzo postępowy (jak na owe czasy) cesarz Otton III uznawał w zupełności słuszność stanowiska Chrobrego i włączył go wraz z Polską w swe plany stworzenia międzynarodowej monarchii chrześcijańskiej pod zwierzchnictwem cesarza i papieża.

Po przedwczesnej śmierci Ottona III wzięły jednak w Niemczech górę siły szowinistyczne, których wyrazicielem był cesarz Henryk II. Siły te doprowadziły szybko do ostrego i długotrwałego konfliktu z Polską. Wielki plan stworzenia unii wolnych narodów, którego Chrobry był szczerym zwolennikiem i w którym miał do odegrania nie małą rolę, został definitywnie pogrzebany. Chrobry ukonował się pod koniec życia (1025), jako niezależny władca, nie był to jednak szczyt jego osiągnięć, jak zwykle się powszechnie sądzi, lecz skutek przymusowej sytuacji politycznej, w jakiej się znalazł oraz wskutek rozwiązania się szerszych możliwości.

Teza prof. Wojciechowskiego jest jasno i przejrzyście skonstruowana a ponadto zaczerpnięta ze źródeł historycznych argumentami.

W inne czasy przetrześli nas Jan Berger, omawiając wpływ mało znanego poety niemieckiego Henryka Kleista (1811) na społeczeństwo niemieckie. Kleist, z lubości przedstawiający w swych utworach wszelkiego rodzaju odmiany państwa, okrucieństwa w postaci niemieckich patriotów, przetrwał i przetrwał, gdyż dobie rządów Hitlera.

wano jego utwory, wystawiano je na scenach, jak Niemcy długie i szerokie, powstało nawet „Towarzystwo Kleistowskie”, wydające własny organ. Autor słusznie nazywa Kleista, gloryfikującego niemiecki i okrucieństwo, zwiatnieniem grozy hitlerowskiej.

Wybny numizmatyk, prof. Univ. M. Kopernika w Toruniu, Marian Gumowski, ogłosił pierwszą część swego studium o fałszerstwach monetarnych Fryderyka II. Jak wiadomo, ów król pruski, obdarzony przez nacjonalistycznych historyków niemieckich przydomkiem „wielkiego”, nie wahał się w masowy sposób fałszować monety polską, czerpiąc ogromne zyski z tego niecznego procederu, a narzucając polską gospodarkę na obrzymie straty.

brzeżną o szerokości 3 mil morskich, korzysta z żeglugi przybrzeżnej i handlu przybrzeżnego, zachowując go wyłącznie dla obywateli i statków własnych.

Rybołówstwo zorganizowane jest przy pomocy kart rybackich, które wydawane są obywatelom polskim i cudzoziemcom. Kompetentną władzą sprawującą nadzór i opiekę nad rybołówstwem jest Morski Urząd Rybacki; organem kontrolnym nad wykonywaniem zarządzeń jego jest Straż Rybacka.

Władzami administracji morskiej są urzędy morskie, do których kompetencji należą sprawy ochrony i bezpieczeństwa żeglugi na obszarze portów i dróg morskich, bezpieczeństwa statków morskich oraz sprawy administracji i porządku na obszarze portów, rewy i morza przybrzeżnego. Organem urzędu morskiego powołanym do czuwania nad bezpieczeństwem żeglugi i porządkiem na powyższych obszarach, jest Straż Portowa.

Ochrona granic państwa na morzu przybrzeżnym jest sprawowana przez Wojsko Wojsko Ochrony Pogranicza.

W sprawach dochodzących i wydawania orzeczeń dotyczących wypadków morskich, którym ulegają statki handlowe, powołane są na terenie Polski Izby Morskie, od których II-gą instancją jest Morska Izba Odwoławcza.

Do ochrony celnej państwa powołana jest Wojskowa Ochrona Pogranicza.

Na koniec władze sanitarne stanowi Morski Urząd Zdrowia w Gdańsku i podległe mu portowe Urzędy Zdrowia utworzone na mocy dekretu z 1946 r.

W sprawie nieszkodliwego przepływu okrętów wojennych Polska posiada normy własne. Przepływ ich nie podlega ograniczeniu przez polskie morze przybrzeżne, łodzie podwodne państwa obcego muszą przepływać w stanie wyprzedzenia. Zatrzymanie się i postój okrętów wojennych uzależnione są od zgody Ministra Obrony Narodowej.

Ten streszczonej powyżej obraz władztwa na polskim morzu przybrzeżnym stanowi bezcenny materiał dla polskiej rzeczywistości — przedstawiony w perspektywie teoretyczno-naukowej, jest doskonałym przykładem metody „nauki stosowanej”, która nie ustępuje w niczym nauce teoretycznej, pod względem poziomu, metody i wyników pracy, spełnia ponadto jeszcze praktyczne zadanie dydaktyczne - informacyjne.

JOZEF MITKOWSKI

„ARTOS”

Prasa codzienna zamieściła ostatnio notatkę o przekształceniu Centralnego Biura Koncertowego w Spółeczną Organizację Imprez Artystycznych „Artos”, która „ma na celu koordynację i planowy rozwój ruchu koncertowo-widowiskowego w Polsce na odcinku imprez objazdowych i dorywczych w wykonaniu zawodowych i artystycznych”. Trudno oczywiście pod tekst tej notatki podłożyć jakieś znaczenie konkretniejsze. W dalszym ciągu czytamy wprawdzie, że „Artos” przystąpił do montowania własnego aparatu terenowego, któremu będzie zlecał organizowanie różnego rodzaju wartościowych imprez artystycznych, co oznaczałoby, że „Artos” zasięgiem swoim obejmie nie tylko imprezy muzyczne, jak to dotychczas czyniło Centralne Biuro Koncertowe, lecz prawdopodobnie również imprezy teatralne, może plastyczne itp. Wniosek sąd, że stworzone instytucje centralna, która będzie dysponować wszystkim — lub przynajmniej większą częścią niestałych imprez artystycznych. Wprowadzi to bezwzględnie pewien ład i umożliwi planowanie życia kulturalnego, zwłaszcza na prowincji.

W notatce tej nie można jednak, nawet między wierszami, wyczytać, jak „Artos” ma zamiar rozwiązać problem uprzeczenia i uspołecznienia kultury artystycznej w Polsce. Innymi słowy, jak będzie technicznie wyglądał kontakt z masami pracującymi, jakie środki zostaną przedsięwzięte, aby zawodo wo wykonywana sztuka dotarła do robotnika. CKZZ potrafiła zorganizować w ośrodkach robotniczych ruch amatorski, który wyraźnie przybrał na sile. Ruch ten wymaga uzupełnienia w postaci zbliżenia robotników do sztuki zawodowej, w pierwszym rzędzie teatru i muzyki. Otóż wydaje się, że

działalność „Artosu” i wyniki jego pracy uzależnione są w dużym stopniu od współpracy: centralnie z CKZZ, a w terenie z OKZZ-tami. Przede wszystkim ze Związkami Zawodowymi powinno być uzgodnione planowanie, a następnie sprawa rozsprzedaży biletów i t. p.

Wszystkie te wątpliwości czy zapytania nasunęła mi dotychczasowa praktyka Centralnego Biura Koncertowego, które za wyjątkiem kolportażu części biletów przez OKZZ pracowało w sposób podobny, jak pracują impresario w ust. oju kapitalistycznym; działo się tak przynajmniej na terenie naszego województwa. Mogło to oczywiście wystarczyć w okresie, gdy próbowało się nowych dróg „powszechnienia kultury artystycznej — dzisiaj już jest niewystarczające.

Być może, że jedynie lakoniczna treść notatki dziennikarskiej spowodowała brośki sprawozdawcy. Być może, że o tym wszystkim już pomyślano. Dobrze by w takim razie było, gdyby przedstawiciel „Artosu” na terenie województwa szwedzkiego, p. Piłkowskiego, zechciał na łamach prasy dać obszerniejsze wyjaśnienia, dotyczące nowopowstałej instytucji.

W.

Klub Artystyczno-Literacki w Szczecinie

Klub Artystyczno-Literacki w Szczecinie pod nowym Zarządem powziął szereg uchwał, wycieczających plan pracy na najbliższy okres. W dalszym ciągu — a w najbliższym porozumieniu z „Klubem 13 tu Muz” Klub Artystyczno-Literacki organizować będzie dyskusyjne wieczory autorskie, przyczym główny akcent położony będzie na literaturę marynistyczną. Przewidziane są m. in. wieczory autorskie Salińskiego, Stępskiego Janusza oraz bardzo aktywnej grupy p. saryży marynistycznych z Gdyni i Gdańska.

Nowa, a niewątpliwie pożyteczna inicjatywa Klubu Artystyczno-Literackiego w Szczecinie jest rozpisanie konkursu pod nazwą: „Świat pracy pisze o sobie”. Warunki tego konkursu podajemy na innym miejscu. Jeżeli konkurs spłotka się z odpowiednim odzewem w zakładach pracy, Klub otrzyma materiał dokumentarny, dla życia kulturalnego Wybrzeża, niezmiernie cenny.

Jednocześnie Klub podejmuje i rozszerza inicjatywę dawnego Zarządu w sprawie poradnictwa dla młodych poetów w Szczecinie. Prowadzone będzie systematycznie studium poetyckie, na którym znani już na Wybrzeżu poeci: Tymoteusz

Na studium odczytywane będą i poddawane szczegółowej analizie wiersze młodych poetów. Studium odbywać się będzie w oznaczonych stałych dniach co miesiąc, w lokalu Klubu 13-tu Muz.

W początkach 1949 r. Klub L. teracko-Artystyczny zorganizuje publiczny „Turniej młodych poetów”, na którym po odczytaniu wybranych wierszy publiczność będzie miała możliwość przedyskutowania treści i formy odczytanych utworów.

Publiczność również zdecydował, przez głosowanie, które z odczytanych utworów należy wyróżnić. Dla zwycięzców w „Turnieju” przewidziane są nagrody książkowe.

Zarząd Klubu Artystyczno-Literackiego pragnie skoordynować swój program pracy z Klubem 13-tu Muz, w którym reprezentowane być mają wszystkie związki i organizacje, zainteresowane w rozwoju kultury na Pomorzu Szczecińskim (Związek Plastyków, Dziennikarzy, Muzyków, Aktorów i Klub Artystyczno-Literacki). Klub Artystyczno-Literacki nawiguje również ścisły kontakt z O. K. Z. Z., pragnąc dotrzeć swoją pracą do szerokiego mas poprzez imprezy w zakładach pracy.

Do Zarządu Klubu dołączono nowego członka, Witolda Wirpsę. Obecnie więc skład Zarządu jest następujący: Dr. Asnes — przewodniczący, red. Jordan — wiceprez. wodniczący, mgr. M. Walicki — sekret. J. Hoffman — skarbnik. W. Wirpsa — członek Zarządu. Dyr. Krzekotowski — szefy członek Zarządu, przebywa obecnie na dłuższym urlopie wypoczynkowym.

Skreślony wyżej w zarysie plan pracy Klubu Artystyczno-Literackiego pozwala się spodziewać, że Klub ten przyczyni się wnie do ożywienia wciąż jeszcze zbyt mało aktywnego ruchu kulturalnego w Szczecinie.



Wieczór Romana Bratnego

25-go listopada odbył się w Klubie 13-tu Muz wieczór autorski Romana Bratnego, jednego z najwybitniejszych poetów młodego pokolenia. Wieczór, niestety, nie był tak ciekawą dyskusją, jak wieczór Tadeusza Borowskiego. Złożyło się na to kilka przyczyn. Pierwsza z nich, to fakt, że publiczność w Polsce poezji, zwłaszcza poezji najnowszej, na ogół nie czyta. Druga — to brak opozycji na sali.

Obie te przyczyny wymagają pewnego omówienia.

Na samym wstępie już można powiedzieć, że dwie te sprawy łączą się ściśle ze sobą. Gdy Roman Bratny odczytał kilka swoich wierszy, na sali zalega cisza. Organizatorzy starali się sztucznie wywołać ciekawość; prowokowali publiczność wedle najlepszej swej woli a mimo to jedynie kilka osób zabrało głos, i to bez namiotności. Okazało się, że dyskutować o poezji

Wiersze Bratnego wywołać dyskusję powinny. Jest to poezja o ambiacjach stworzenia nowej faktury formalnej, polegającej na udrumantowaniu tekstu. Metoda ta ma pozwołać na lepsze wyrażenie treści, zwłaszcza treści upolitycznionej. Wydaje mi się — z punktu widzenia fachowca — że metoda ta daje dobre wyniki. Powstaje pytanie, czy daje ona dobre wyniki w stosunku do przeciętnego słuchacza czy czytelnika, innymi słowy, czy jest to poezja komunikatywna. Z reakcji, a raczej braku reakcji ze strony publiczności wynikałoby, że z tą komunikatywnością wciąż jeszcze nie jest najlepiej. To jest winą poety. Ale winą publiczności jest, że poety nie zaatakowała. Charakterystyczną pod tym względem była wypowiedź jednego z dyskutantów, który powiedział, że przychodzi na wieczory autorskie, aby się czegoś nauczyć z dyskusji fachowców; do wypowiedzenia własnej opinii nie czuje się powołany. A to źle. Że jest, że — nawet w środowisku inteligentów — czytelnik nie zdaje sobie sprawy, jakiej literatury pragnie, że nie wie, czego żądać od pisarza. Bo od pisarza trzeba dążyć pewnych rzeczy żądać. Literatura tworzy w równym bodaj stopniu, co twórca — czytelnik.

Postawa owego dyskutanta wpędza poetę w błędne koło. Mówiłem o winie poety — czy ogólnie biorąc, poetów. Ta wina niewątpliwie istnieje, ale sprawa nie jest prosta. Ci wszyscy młodzi poeci, którzy wystartowali po wojnie, są dziedzinie obciążeni bagażem mieszczańskiego buntu formalistycznego, bagażem, którego się chcą za wszelką cenę pozbyć. Jest jednak rzeczą oczywistą, że sami nie dadzą rady. W tych warunkach wszelkie ich wysiłki będą zawsze miały charakter partyzantki. I nie wydaje mi się, aby Roman Bratny jakąś naukę ze Szczecina wyniósł — a szkoda, bo Roman Bratny chce pisać dla wszystkich i jest na dobrej po temu drodze.

Zalować może należy, że Bratny nie miał możności (nie z winy organizatorów) wystąpić w środowisku robotniczym. Można, że dyskusja w zakładach pracy przyczyniłaby się do rozwoju jego bezspornie niezłomnego talentu i dałaby mu możność pełniejszego wyrażania tych treści społecznych, o które walczy z rzetelną pasją.

W. W.

Orkiestra Szczecińska Władysława Kędra

Program ostatniego koncertu symfonicznego był zestawiony z dwóch wielkich nazwisk: Szopena i Haydna. Zestawienie kontrastowe, ale bardzo muzyczne i bardzo instructywne. Niemniej jednak obowiązkiem recenzenta jest pokazać pewne plamy na słońcu.

Koncert rozpoczął się Polonezem As-dur Szopena w przeróbce na orkiestrę. I to był błąd — jedyną zresztą — tego kon-

certu z zasady „nieprawidłową”. Szopen pisał — z małymi wyjątkami — tylko na fortepian. W przeciwieństwie do Beethovena, którego większe dzieła fortepianowe zdają się być przeróbką dla et symfonicznych, Szopen stworzył niepowtarzalny styl pianistyczny, „dla fortepianu” „dużo”, jak mawiali romantycy i tej „dużo fortepianowej” nie można bez uszczerbku jego muzyce zabrać. W dodatku — jeśli już wykonywanie muzyki Szopena w przeróbce orkiestralnej jest z jactich względów konieczne, to porwać się na to może jedynie zespół znacznie większy niż nasz — i z tymże lepiej przekończony. Na nieprawdopodobnie może sobie pozwolić jedynie dobry majster. A tymczasem Szopen w wykonaniu orkiestry Robotnickiego Towarzystwa Muzycznego brzmiał „chudo”. Wydaje mi się, że gdyby dyr. Lasota włożył tą samą ilość pracy w przygotowanie np. 3-go Koncertu Brandenburskiego J. S. Bacha, meli-biśmy program koncertu zbliżony do ideału. Zestawienie Bach — Szopen — Haydn byłoby bardzo dobre w uchu każdego melomana.

Symfonia D dur Haydna była wykonana z dużym wdziękiem. Z przyjemnością powtórzyłbym tutaj kompletnie, jakie napisałem z okazji drugiego koncertu symfonicznego. Papi Haydn brzmiał bardzo czysto, wydobyty został specyficznie dla epoki koloryt dzieła, pokazano wszystkie, co z tej epoki przetrwało do naszych czasów. W żargonie sprawozdawców koncertowych mówi się w takich wypadkach, że „rzecz była wytrzymana w stylu”. To „wytrzymanie w stylu” miało jeszcze wiele cech składowych, ale tak właśnie jest dobrze. Orkiestra ucy się grać, publiczność ucy się słuchać, a dyr. Lasota okazał się dobrym nauczycielem muzyki. Zresztą wszelkie wysiłki poza szkolną poprawność kryją w obecnym okresie rozwoju orkiestry bardzo poważne niebezpieczeństwa.

Solistą wieczoru był Władysław Kędra. Jest to pianista młody, który wzeł na polskie estrady koncertowe za sobą skokiem wojny, w 1945 roku. Dysponuje imponującą, nadzwyczaj czystą techniką, posiada dostateczną rozpiętość dynamiki oraz zdecydowane, nieco twarde uderzenie. Szopen w jego wykonaniu może napotkać na opory w przyzwyczajonych do tradycyjnego sposobu wykonania dzieł wielkiego kompozytora. Kędra gra Szopena bardzo precyzyjnie, może jednak trochę za monotonię i ze zbyt dużymi skłonnościami do efekciarstwa technicznego. Okazało się to zwłaszcza w bisach. Wydaje się, że Kędra byłby lepszym wykonawcą Beethovena i Mozarta oraz muzyki najnowszej; romantyków najwidoczniej mało czuje.

Nie wiem, czy fortuna jest zmianą sali; sala W. R. N. ma stanowczo lepszą akustykę niż sala Teatru Polskiego, a te względnie powinny chyba w tym wypadku zdecydować. Rozstrojony fortepian natomiast jest już grubszym niedopatrzeniem.

W. W.

Dyskusje Literackie:

POTRZEBA KSIĄŻKI O WYBRZEŻU

Dopiero po wzbudzeniu się w bogatej Gdańsku i wielce pouczającą przeszłość wybrzeża gdańskiego można się zorientować jak wielkie bogactwo tematów literackich skrywiają te dziedziny. Przedstawiciel każdego rodzaju twórczości pisarskiej: powieściopisarz, nowelista, dramaturg, poeta, eseista mogą stać czerpać pełnymi garściami wartościowe, nieużyte twórczywo.

Ujęcie Wisły ma tę właściwość, iż w każdej epoce działa się tu dużo. Dzieje miasta cechuje raczej nadmiar wydarzeń, procesów gospodarczych, zabiegów dyplomatycznych niżeli ich brak, spokój i senność.

Wbrew tym warunkom polska twórczość literacka w przeciwieństwie do niemieckiej i niemiecko-gdańskiej niewiele skorzystała z nadmorskiej kopalni tematów i materiałów pisarskich. Gdańsk i jego okolice znacznie wyczerpały na historię Polski, niż na jej piśmiennictwie. Zobowiązania literatury wobec miasta, które w XVII w. kanclerz Rzeczypospolitej zwiał „Admiralem Polską”, budy w twórczości wiek XIX skłócił w I połowie tostem „mickiewiczowskim („Miasto Gdańsk niegdyś nasze, znowu będzie nasze”), w drugiej zaś — „Panienką z Oldenka” „Deotymy. Mimo niewątpliwego upodobań do powieści historycznej w końcu ub. stulecia, upodobań do ominięty Gdańsk i wybrzeże. Uzasadniony za tym był pełen gorczy wyrzut Kaszuby Deotymy, odbierającego z mozołem na własnym podwórku nadmorskie zaległości srodkałowych talentów:

„My Kaszuby jasz brzędzeme, Polsci morskich granic, A rodacy, tam w Warszawie, mają naju za nic...”

Lekceważące zapomnienie przerwał dopiero „Wiatr od Morza” Żeromskiego i powersalski skrawek bałtyckiego brzegu, który wnet skupił miłość i ambicje narodu, wcześniej, nim literatura zdążyła wypisać jego piękno.

Znacznie więcej uwagi poświęcali sprawom bałtyckim i gdańskim historycy.

Tak jest zresztą również i dzisiaj. Gdyby więc przyszło zestawić dorobek nauki i literatury w dziele związania społeczeństwa z Bałtykiem i kształtowania świadomości morskiej, dysproporcja zaznaczyłaby się wyraźnie. Lecz prace historyków nie mają na ogół tak szerokiego obiegu, jak proza artystyczna. Nie wpływają też tak wydatnie na upodobania i tendencje warstw czytających, jak te ostatnie. Zaś pozycje literackich o problematyce wybrzeża za jest wciąż jeszcze zbyt mało na odrobienie zaniedbań przeszłości.

Za zaniedbania te trudno winić wyłącznie pisarzy, tymbardziej że w literackim ośrodku gdańskim tematyka miejscowa zaczyna zjednywać coraz więcej zwolenników i może się poszczycić planami. A niedomagania to wpływają również brak firm wydawniczych, zainteresowanych spe cjalnie w popieraniu twórczości regionalnej. Odbija się to szczególnie dotkliwie na potrzebach młodzieży wybrzeża i Pomorza, która nie ma popularnych wydawnictw historycznych i gospodarczych oraz lektur uzupełniających z zakresu literatury pięknej, związanej z przeszłością i kulturą swego regionu.

W innych dziedzinach potrzeby takie zaspakajają popularne biblioteczki klasyków, antologii, tekstów wybranych przystępnych, syntetycznych opracowań, wydawane przez takie firmy jak „Czytelnik”, „Książka”, Gebethner i Wolff, Kot i inne. Lecz plany wydawnicze tych firm marynistyki i spraw wybrzeża dotykają tylko peryferyjnie. Np. nastawiona na potrzeby młodych czytelników biblioteczka Ziemi Odzyskanych PZWS traktuje sprawy wybrzeża po macoszemu. Wynika to może poczucie stąd, że wydawcom brak jest odpowiedniej podniety ze strony firm księgarskich, brak zachęty do pracy o określonej tematyce i szans wydawniczych.

W porównaniu ze śląskiem czy nawet Podhale bibliografia literacka (nie naukowa) regionu Wybrzeża i prezentuje się bardzo nędznie. Warszawa, Kraków, Poznań mogą się poszczycić dziesiątkami książek, którym dostarczyły fabryki czy

tematu. O podobnej popularności Gdańsk i Szczecin dzisiaj mogą tylko marzyć.

W tej sytuacji narzuca się potrzeba dostarczenia rynkowi czytelniczemu wydawnictw, któreby zaspokoiły tę lukę. Najłatwiej daby się to osiągnąć przez stworzenie biblioteczki Wybrzeża, przeznaczanej dla najszerszych warstw odbiorców, wzorowanej na doświadczeniach wspomnianych powyżej firm. Zadaniem takiego wydawnictwa byłaby popularyzacja przeszłości i teraźniejszości wybrzeża tak w pracach literackich wszelakiego rodzaju, jak w popularno-naukowych, których brak szczególnie daje się odczuć w terenie. Jako najbardziej charakterystyczne przykłady dla takiej serii można wskazać w zakresie prozy artystycznej — kilkadziesiąt stronnicowe opowiadanie J. B. Ryeh lińskiego „Skarbiec Bałtyku” wydane u Ś. W. Wojciecha przed wojną, w zakresie prac krytycznych, szkiców morskich — broszurkę prof. R. Pollaka „Uroda morza w słowie polskim” (Wydawnictwo Zachodnie — Poznań 1947), wzór taniego a zarazem cennego wydawnictwa o ślicznej szacie zewnętrznej, wreszcie w zakresie prac popularno naukowych — Historię Marynarki Polskiej — K. Lepszego (Wyd. Kota w Krakowie).

W zapoczątkowaniu podobnego wydawnictwa najbardziej zainteresowane są firmy księgarskie wybrzeża, lecz sprawa ta dotyczy również żywo kół literackich, zwa-

szcza nadmorskich, czynników kulturalnych i oświatowych. O ile chodzi o te ostatnie, podobna akcja wydawnicza dostarczyłaby nauczycielstwom wybrzeża cennego, dziś brakującego instrumentu dla dokształcenia młodzieży i dorosłych. Poparcie czynników oświatowych ma tu zasadnicze znaczenie, gdyż może zapewnić zalecenie publikacji do użytku szkolnego przez Ministerstwo Oświaty, a w każdym bądź razie zabezpieczyć zbyt znaczny ciężar nakładu w bibliotekach szkolnych i nauczycielskich podległych kuratorium, co stwarza dla wydawcy możliwość rozsądnej kalkulacji i zachęca go do ryzyka wydawniczego. Dla księgarskich firm wybrzeża, pracujących od niedawna, a więc wciąż jeszcze pioniersko, jest to sprawa dużej wagi.

Podobną akcję w zakresie wiedzy o morzu i żegludze ma rozpocząć niebawem PCWM (Państw. Centrum Wyszk. Morskiego) w porozumieniu ze spółdzielnią wydawn. „Żeglarz” w Gdyni. Rosnące stale w głąb kraju zainteresowanie wybrzeżem, i jego sprawami wzmacnia szansę powodzenia dla wysiłków wydawniczych tego rodzaju.

Podjęcie proponowanej imprezy umożliwiłoby zaspokojenie palącego braku książki o wybrzeżu, a zarazem skutecznie zachęciłoby kół literackie do zapewnienia dotkliwej luki naszego piśmiennictwa.

LESZEK PROROK

TYGODNIK WYBRZEŻA

REDAGUJE KOMITET — Szczecin, Al. Wojska Polskiego 41, tel. 21-90. Redaktor naczelny przyjmuje od godz. 10-12. Oddział GDAŃSK — GDYNIA: Komitet Redakcyjny w SÓPOLCE, ul. Sikorskiego 2, tel. 523-77. Administracja ul. Portowa 8, tel. 16-85. Nadastanych rekwizytów nie zwraca się. PRENUMERATA miesięczna 80 zł, kwart. 225 zł, półr. 440 zł, roczna 880 zł. Cennik ogłoszeń: 1 mm lamy szer. 63 mm w dziele ogłoszeń — 50 zł, w tekście — 100 zł, przetrzał i 1 mm — 100 zł. Strona — 75.000, 1/2 str. — 40.000 zł, 1/4 str. — 25.000 zł.

KONTA: BGS: 656, PKO: K-82.

WYDAWCA: Spółdzielnia Wydawnicza „POLSKIE PISMO I KSIĄŻKA” w Szczecinie, Al. Wojska Polskiego 39 — Telefon 95-06 Skład maszynowy w drukarni N. w Szczecinie. Układ graficzny i druk w drukarni P. P. K. w Szczecinie